

WIEŚ

tygodnik społeczno-literacki

Rok VI

Warszawa, dn. 18 września 1949 r.

Nr 38 (217)

MAKSYM TANK

POETA MÓWI

z poematu „Dziennik pokoju”

W niedającym się ugasić gwie
[zdobiorze]

świeci jak gwiazda
wśród republik radzieckich
mój młody kraj.
Leży on na brzegach
Dniepru i Dżwiny,
tam gdzie słychać szum
białowiejskiej sosny,
gdzie bezkresne są przestrzenie
łąk i lasów,
gdzie na polach
nie ustaje huk traktorów,
gdzie dymy sokoły
mają wysoki lot
gdzie żyje pracowity
i odważny lud,
gdzie wiatry
szumią partyzancką sławą,
gdzie Kupały i Kołasa
pieśni dźwięczą.

... W naszym kraju
można jeszcze zobaczyć ruiny.
Są to ślady złych czasów,
resztki wojny.
Lecz wstają miasta
z ognia i biedy,
i szumią
na dawnych zgłiszczach sady.
kwitnie kok-sagyz.
Wyrasta ożmina.
My drogi układamy
naprzód
do komunizmu.

... Bracia!
wszyscy, którym drogie są
pokój i zgoda,
przyjaźń wojskich narodów,
świtająca nad ziemią
i wiosna,
która dzwoni nad swobodą pól,
która szumi młodymi pędami

[drzew,

i wesoła młodość,
i szczęście dzieci,
i w ciszy nocej
nucenie kolysanki, —
my, obrońcy prawdy,
podajemy wam dłoń, my,
żołnierze Stalingradu,
podajemy wam dłoń,
my, ludzie radzieccy,
podajemy wam dłoń.
I nikt nigdy,
ani mieczem, ani ogniem
uciśku naszych dłoni
nie rozerwie.
Witamy
wschód słońca pokoju.
Niechże wiedza
przeciwniży pokój,
że nie uda się im
zaćmić naszego słońca
swoim tumanem.
Ten, kto przyjaźni pragnie
naszą przyjaźń znajdzie,
kto do prawdy dąży,
naszą prawdę spostrzeże,
ten kto pieśni pragnie
naszą pieśń odnajdzie.
A kto wiatr posieje
burzę będzie zbierał.

Głos pokoju
nad światem
nad dzień i w nocy
krusząc przegrody
zwycięsko dźwięczy!
Nie zatrzymają go
posterunki graniczne.
Przez druty kolczaste i rowy
przebiega się on.
Nie powstrzymają go
ani góry,
ani rzeki
ani lufy miotaczy min
ani chłód bagnetu.
Niczym fala przypływu
z nabrzeża Nowego Jorku
na doki i forty.
Nad Chinami
plonie światem swobody,
nad Europą
w czerwonych sztandarach szumi.

Więc dźwięcz nad ziemią
co raz to silniej,
coraz dobitniej
głosie pokoju.
wezwaniami milionów ludzi!

tłum. E. Hirtuszewski

JAN ALEKSANDER KRÓL

ŚWIADOMOŚĆ USTROJU

(PO PLENUM SIERPNIOWYM ZARZĄDU GŁÓWNEGO Z. S. Ch.)

III Kongres Związku Samopomo-
cy Chłopskiej, który odbył się w
marcu bieżącego roku, rzucił hasło
organizacyjne o znaczeniu przeło-
mowym dla rozwoju Polski na dro-
dze do socjalizmu, przełomowe dla
stosunków społeczno-gospodarczych
wsi polskiej.

„Decydujemy się przesunąć
punkt ciężkości naszej pracy na
Koło Gromadzie ZSCH!” W skró-
cie: *Stawiamy na gromadę!*

Kongres ZSCH dał w ten sposób
odpowiedź na sierpniowe Plenum
PPR-u i Kongres Zjednoczenia par-
tii robotniczych z ub. roku.

Przypomnijmy wytyczne nasze-
go ustroju gospodarczego i społecz-
nego, które sformułował przed ro-
kiem min. Minc.

„Elementy w założeniu swym so-
cjalistyczne naszej gospodarki zaj-
mują dominujące położenie w
przemysle, komunikacji, finansach,
stanowią już czynnik decydujący
w handlu hurtowym, znajdują się
w stałym wzroście na odcinku han-
dlu detalicznego, na odcinku bu-
downictwa, oraz zajmują poważne,
aczkolwiek w małym jeszcze stop-
niu produkcyjnie wyzyskane, pozycje
na odcinku produkcji rolnej...”

Trzeba stwierdzić, że ten stan
posiadania elementów w założeniu
swym socjalistycznych w naszej
gospodarce został osiągnięty w dro-
dze systematycznej walki z ele-
mentami kapitalistycznymi, w dro-
dze ich okiełznanie, na niektórych
odcinkach ich ograniczenie, a gdzie
niegdzie ich wyparcie...

Trzeba wyraźnie powiedzieć, że
rządy Demokracji Ludowej mogą
przy systemie Demokracji Ludowej
i bez marszu naprzód ku nowym
formom ustrojowym jedynie ograni-
czać i hamować kapitalistyczny
rozwoj wsi, nie potrafią jednak za-
trzymać go zupełnie, bowiem „go-
spodarstwo indywidualne rodzi ka-
pitalizm i burżuazję stale, codzien-
nie, co chwila, żywiłowo i w skali
masowej”.

Jasne jest przecież dla każdego,
że proces kapitalistycznego rozwo-
ju w osłabionym tempie trwa i te-
raz, że i teraz większość wsi jest
eksploatowana przez wiejskiego ka-
pitalistę, przez zatrudnienie siły
najemnej, przez system odrobek,
przez lichwe zbożową i pieniężną
itd.

Znaczenie odpowiedzi, jaką dał
III Kongres ZSCH, na wytyczne
sierpniowe, polega nie tylko na z
solidaryzowaniu się z nimi, tzn. na
uznaniu konieczności dalszej walki
z odradzającym się kapitalizmem
na wsi i na uznaniu konieczności
prowadzenia tej walki „naprzód ku
nowym formom ustrojowym”.

Przełomowe znaczenie Kongresu
polega przede wszystkim na stwier-
dzeniu społecznej możliwości reali-
zowania wytycznych.

Taki sens ma hasło: *Stawiamy na
gromadę!*

Gromada to ostatnie, podstawo-
we ogniwo terytorialnego i społecz-
nego życia chłopów. Gromad (wsi)
mamy w Polsce 44 tysiące. Wyty-
czne mówiły o konieczności wyzy-
skania przez elementy w założeniu
swym socjalistyczne w niepomier-
nie większym stopniu pozycji pro-
dukcyjnych w rolnictwie. Daje o
tym wyobrażenie Plan 6-letni:
zwiększenie produkcji rolnej pra-
wie o 50%. Mówiły wytyczne o za-
ostrożeniu na wsi walki klasowej
z wyzyskiem kapitalistów wiejskich,
o ich ograniczaniu, wypieraniu z
życia gospodarczego i społecznego
biedniaków i średniaków na wsi.
Mówiły o marszu naprzód ku no-
wym formom społecznym. Kong-
res odpowiedział: *stawiamy na
gromadę!* Oznajmił zatem, że wy-
tyczne konkretyzują i doprowadza-
ją do stanu powszechnej świadomości
procesy, które się przez pięć
lat Polski Ludowej toczyły i wzma-
gały na wsi. Procesy walki klaso-
wej, wyzysku gospodarczego i uci-
sku społecznego ze strony kapita-
listów wiejskich, siania wstecz-
stwa, zamaganie wiary w nowy u-
strój i wiedzy o nim z jednej stro-
ny; z drugiej — zdobywanie krok
po kroku pozycji gospodarczych i
społecznych przez wyzyskiwanych
biedniaków i przekonywanych, o-
trząsanych się z wahań i złudzeń
na kapitalistyczny dorobek śred-
niaków, pozycji ujarzmiających i
spychających na margines życia wsi
kułaków, ich zauszników i protek-
torów.

Kongresowe hasło — „stawiamy
na gromadę” — wyrażało pewność,

że w 44 tysiącach wsi polskich, że w
każdej gromadzie narodziły się do
walki klasowej, że prą one w toku
produkcji, w toku jej wymiany
w obrocie towarowym do dalszych
przemian gospodarczo - socjalnych,
że rośnie nowa wiedza i nowa świad-
omość społeczna i wieś przez swe
podstawowe masy chłopskie wra-
sta w nowy ustrój, chwytając jego
przesłanki i wytyczne, dostrajając się
nimi w rozumieniu lokalnej i świa-
towej sytuacji, dostrajając się w dia-
lektyce walki codziennej i codzien-
nej przebudowy więzi gromadziej.

Też Kongres potwierdził naj-
bliższe miesiące. Sierpniowe Plenum
Głównego Zarządu Z. S. Ch. stanęło
przed pierwszym doświadczeniem
hasła: *stawiamy na gromadę!*

*

Ustrój który się „rozgrywa” na
gromadzie i tam jest już w toku
walki i rozbudowy staje się w na-
pełniejszym tego słowa znaczeniu
ustrojem narodu.

Trzeba ten przełomowy moment
porównać z również historycznym
dla wsi polskiej przełomem, jaki do-
konywał się w ostatnim dziesię-
cioleciu XIX w.

Wówczas było to scalanie się wsi
z ustrojem kapitalistycznym.

Uplęnięto prawie pół wieku od
zniesienia pańszczyzny w Galicji,
upłynęło ponad 30 lat w Kongre-
sówce. Mechanizm drobno - to-
warowej produkcji i wymiany, mecha-
nizm kapitalistycznego ustroju, a
o cechach kapitalizmu niedorozwi-
niętego, zdający kraj z zewnątrz na
inwazję ekonomiczną, na los półko-
loń, od wewnątrz przedzieraający
feudalne relikty dworów i folwar-
ków, ten mechanizm pod koniec w
XIX działał już na gromadzie w każ-
dym szczególe życia jednostkowego
i zbiorowego.

Tworzył już powszechnie schemat
myślenia chłopca, stawał się jego
„naturą”, obrazem życia, pomyślnym
na pozycji kułackiej lub gdy
doprowadzał do tej pozycji, pęta-
jącą zaś i mamiącą dla mas chłops-
kich, wyważanych z małych gospodar-
stw, gnanych za ocean nadzieją
pracy i zaoszczędzenia, a za powro-
tem nadzieją stabilnego usytuowa-
nia się w rodzinnej wsi na najniż-
szym szczeblu drabiny kapitalisty-
cznego posiadania.

Ustrój, który wtarał się i jest już
na gromadzie, osiąga tu równole-
głe swój wykładnik ideologiczny,
żyje w świadomości społecznej. Ma-
my tych dokumentów świadomości
ustroju kapitalistycznego na wsi —
nie mało. Chcemy przypomnieć te z
najwcześniejszej, pierwszej fazy, do
której, aby wieś dojrzała, trzeba by-
ło jednak kilkudziesięciu lat. Słowa-
ka, urodzony w ostatnich latach
pańszczyzny, trafiał bardzo w
swoich Pamiętnikach określał sens
przemian, hipoetka. „Odtąd dopie-
ro stało się jasną dla każdego rze-
czą, że to co posiada (parcele) jest
święcie jego własnością”. Słomka
wywodził się z kmielców, miał ma-
jątek, któremu hipoetka nadawała
klasowe znaczenie „świętej włas-
ności”. Inny pamiętnikarz tych cza-
sów, Magryś, pochodził z rodziny
komorniczej, wydzwignął się jednak
na pozycję bogatego gospodarza.
Drogi utorował mu warsztat tkacki
matki w tym przejściowym okre-
sie, kiedy to kureczył się już indy-
widualny wyrób odzieży na wsi a
produkcja fabryczna nie wzrosła
dostatecznie i nie przebiła sobie
szersze sieci kanałów zbytu na chłops-
ką prowincję.

Magryś pozostawił złudne wska-
zania dla mas chłopskich o podob-
nie biedniackim starcie życiowym,
jak jego. „Cała tajemnica naszego
powodzenia leżała w tym, żeśmy do-
brze znali swoje rzemiosło, pracow-
waliśmy od rana do nocy i nie pił-
my wódki”.

Słomka wyrażał ten sam opty-
mizm. „Teraz pierwszy lepszy chłop
jest swobodny i może żyć jak daw-
niej szlachcic”.

Bojko pisał w „Dwóch duszach” —
„A ciebie chłopie, jak podatek i
procenta a kapitał regularnie pla-
cisz, jak rekruta a powinności od-
robisz... — toś pan całą gębą i jed-
ną tylko śmierć cię z domu wypę-
dzić może a zresztą nikt. Słyszysz?
Nikt nawet sądzi, nawet biskup,
nawet minister, nawet król... ale po-
wiedz mi czy ty masz odwagę ci-
wilną do twojego dzisiejszego pań-
stwa i przy tem prawie, jakie ci
przysłuży...”

To, co mówił Słomka, Magryś i
Bojko wyrażało świadomość kułac-
kiej części wsi, jej zgodę na nowy

ustrój. Bo wolności demokracji bur-
żuazyjnej mogły być przywilejem
tylko kapitalistów wiejskich za cenę
pozbawienia w nich udziału mas
chłopskich, w walce z tymi masami.
Te perspektywy „chłopa swobodne-
go” teraz jak dawniej szlachcica,
„pana całą gębą” to była zdobycz
kułaków w pierwszej fazie kapita-
lizmu na wsi. Ich umocnienie kla-
sowe, ich wygrana, przez nich do-
konane ujarzmienie wsi, podpo-
rządkowanie swemu autorytetowi,
swym manipulacjom gospodarczym
i politycznym. I najstraszliwsze:
zasugerowanie masom kułackiej
perspektywy klasowej, jako wzoru
życiowego, w którym rzekomo rea-
lizuje się godność i wolność czło-
wieka. Przez dziesiątki lat miały
masy biedniackie wypróbować bez-
skutecznie ten katechizm, przez
dziesiątki lat w milionowych roz-
czarowaniach gromadzić historycz-
ną i klasową wiedzę o kłamstwie i
podłości tego katechizmu.

*

Trzeci Kongres Z. S. Ch. mógł już
po 4-ach latach rządów robotniczo-
chłopskich wysunąć hasło — *stawiamy
na gromadę!* Bo już jest w niej
świadomość społeczna nowego ustro-
ju nie mniej żywa i nie mniej silna,
jak tamta, która przed pół wiekiem
kierowała wiejskim życiem gospodar-
stwa i politycznym. Można by
się dziwić tak szybkiemu wzrostowi
tej nowej świadomości. Ale kiedy
sobie uprzytomnimy, że wyraża
ona eksplozję straszliwie długo
nagromadzonego doświadczenia mas
chłopskich, kiedy sobie uprzytomni-
my, że nasza rewolucja i władza ludowa
dały wsi nowe doświadczenia
to jasne jest, że tempo tej świadomości
narasta proporcjonalnie do
zasiegu klasowego, na rzecz którego
działa nowy ustrój. Po kilkudziesię-
ciu latach od zniesienia pańszczy-
zny kapitalizm spętał masy chłops-
kie na dobre i świadomość kapita-
listyczna jaka wyrosła i dojrzała w
nich była już świadomością wiejską,
świadomością przykutej do kajdan.
Świadomości „pana całą gębą”, wy-
rosła tylko w szczytach wiejskiej
arystokracji.

Teraz sytuacja się odwróciła.
Świadomość nowego ustroju to do-
bycz i narzędzie walki mas chłops-
kich. One przyspieszają jego roz-
wój we własnym interesie klaso-
wym na gromadzie. Przyciągają go
od centrów, i konkretyzują u sie-
bie, w terenie. Nowe doświadczenia
ukazały masom chłopskim poza wsią
przełom w wymiarach z kapitali-
stycznej organizacji produkcji i sto-
sunków społecznych. Ukazały pla-
nową, uspołecznioną produkcję, wy-
mianę i kredytowanie. Ukazały war-
tość tej przemiany, ubezpieczenie
mas chłopskich przez klasę robotni-
czą; gospodarstwo i polityczne. Został
wróg na miejscu, którego doniedaw-
na wspierał stary ustrój, którego
wspierał dziś jeszcze wiele nieprze-
mienionych elementów dawnego
ustroju: instytucji, rutyny i obycz-
ju. Ale w takim układzie walka z
wrogiem klasowym staje się żywo-
wą, nieuniknioną koniecznością. W
jej wir wciągają masy chłopskie co-
dzienne potrzeby i możliwości bez-
pośredniego ich rozwiązywania coraz
bardziej racjonalnego, coraz bardziej
uspołecznionego.

Wiele lat upłynęło nim powstały
chłopskie zapisy kapitalistycznej
świadomości wsi. Dziś po 4-ach la-
tach Polski Ludowej garściami moż-
na zbierać dokumenty nowej dojrz-
łości społecznej, która wyraża drogę
i świadomość mas biedniackich
i średniorolnych. Zapisują je starzy
chłopi i młodzież. To nie są jeszcze
pamiętniki ani opowieści. Jest do-
pięro okres początku, natarcia. Świa-
domość eksploduje błyskawicami
celnych strzałów w klasowych bi-
twach, które narzuca wsi tok prze-
mian ogólnospołecznych w kraju
i na świecie, które nasuwają kolej-
no ognia prac każdego roku rolni-
czego. Te zapisy są samodzielne, łat-
wo je odróżnić od powtórzeń goto-
wych haseł, ocen i uchwał. Szukają
swojej formy, nie codziennej, bo wy-
rażają przemiany historyczne, formy
uroczyste, bo zawracają chcą
patos nowej, zwyciężającej epoki.
Autorem tych zapisów często nie
przechodzi do głowy, że konkurują
z poetami. Wysiłek wkładany w poe-
tycką formę potrzebny im jest do
uwydatnienia treści nowej świadomości
społecznej, jaką przeżywają
wraz z innymi.

Wachlarz tej świadomości jest
szeroki. Podstawowe osiągnięcie to
— „przejście na oczy”.

„Byłem dzieckiem „towarowego”
ustroju
jego założę filozoficznych
kanonicznych
i socjalnych”

pisze chłop z kieleckiego, pisze w
imienu rzesz staro pokolenia.
„To nie że moja matka
nie zna Engelsa i Marksa
skoro w mojej bibliotece
znajdują się książki
tworcy socjalizmu”.

U innego przeczytacie:
„Milcz Kołtuński i nie pchał nie-
czystego dzioba
[czystego dzioba
[sumienie
[podobać
[judawa]

myśmy przeciłowali twe czarne
Nowa Polska nie musi się tobie
a pieścić siebie w myślach nie
[judawa]

że troszczysz się o jej zbawienie”.

Nie trzeba dokonywać przeglądu
pisma za ubiegłe miesiące, ostatnia
pocztą przynosi również takie ma-
teriały.

Chłopak z koneckiego sztydzi:
„W myśl Watykańskiego kanonu
zwrócić się trzeba do Waszyngtonu
i złączyć się silnym węzłem przy-
jaźni

oto czym się papież w Watykanie
[biażni].
Chłopak z powiatu gdańskiego pisze:

„Niech popatrz kapitał
anglo-saski potencjał
jak lud Polski postokroć
kocha pracę i wolność!”

Te wypowiedzi i podobne im pisa-
jącej chłopie niepartijni. I to
jest zrozumiałe. Partijni harują
i zabiegają o sojusz z bezpartyjnymi
i ze średniakami. Wahać się śred-
niak i bezpartyjny częściej tegu-
chwiliom subiektywnego odczucia co
się dzieje wokół niego i w stosunku
do niego. Ocenia przemiany, ocenia
udziału mu pomóc i od etapu do
etapu reaguje wzruszeniem, którego
zapis wieloletniemu przesuwu się
przez redakcję pism, często w imię
surowych (a raczej konwencjonal-
nych) kryteriów estetycznych wrzu-
cany do kosza. Pomiedzy bliskimi
wzruszeń coraz silniejszy na każ-
dym etapie staje się udział w walce
i pracy bezpartyjnych chłopów
i średniaków. Ze tak jest, że tak
musi być, o tym wymownie świad-
czą te zapisy świadomości klasowej,
z roku na rok, z miesiąca na mie-
siąc potężniejące w wyrazie, jasno-
ści i czystości ideologicznej.

*

Plenum sierpniowe Zarządu Główn-
nego Z.S.Ch. przedstawicym mate-
riałem sprawozdawczym utwierdza-
nie w przekonaniu o wielkim prze-
łomie na gromadzie. Hasło III-go
Kongresu: „stawiamy na gromadę”
nie zostało zawiedzione przez masy.
Raczej przeciwnie, to plenum zdało
sobie sprawę po paru miesiącach,
jak gorączkowo teraz muszą działać
wyższe (centralne, wojewódzkie i po-
wiatowe) ognia Związku Samopo-
mocy Chłopskiej, aby sprostać po-
trzebom gromad w ich akcjach, w
ich bitwach, podejmowanych coraz
ostrzej, coraz szerszym frontem.

To jest rzeczka znana, że oblicze
gromady kształtowała parafia i pa-
tronat kułacki. Wiadomo też, że był
i jest jeszcze stały aktyw tego fron-
tu na wsi. Jest ksiądz, jest kułak,
oni codziennie rozmawiają, oni mają
codzienny wpływ na średniaka, oni
codziennie odnawiają i okazują swo-
ją przewagę ekonomiczną, bo oni
wypożyczają maszyny, pieniądze,
ziarno, oni podają pracę, do pracy,
oni przechwytyją w porę i na zapas
towary i wszelkie elementy pomo-
cnicze produkcji i zbytu. Oni nadal
intrigują, straszą i bałamuca. Jest
też rzeczka wiadoma, że na spółdziel-
czość gminną działają i wahań
średniaka i napór bogaczy i napór
reakcyjnego kleru i nasza struktura
drobnotowarowej gospodarki; spół-
dzielnie prowadzą wymianę towaro-
wą ze wszystkimi na wsi, z bogatymi
chłopami również.

Ale też powstał i rozrasta się dru-
gi front na gromadzie. Podczas wy-
borów do Spółdzielni Gminnych po-
jawiały się, owszem, wypadki kiedy
grupy członków dzieliły się nie kla-
sowo, ale terytorialnie, kiedy bro-
niono kandydatów i kułaków, bo po-
chodzili z tej samej wsi. Ale to były
wypadki odosobnione. Gałaza „My-
stkowice”, pokazujące wojnę grom-
ad, trwającą dziesięciolecia, to już
miniona historia. Historia dnia
wygląda inaczej. Przejawia się ona
w ubiegłych wyborach do Spółdziel-
ni, przejawia w wyborach do Komi-
tetów Członkowskich i Rad Kontrolni.
Ten drugi a szeroki front szykuje się

do natarcia zasadniczego. Jest auto-
rytet Samopomocy, gdzie się nie
obróci wszędzie potrzebne zaświad-
czenia czy opinie Związku i wszę-
dzie ona dużo znaczy. Ale komu i na
co były wydane? Oto pierwsze pyta-
nie, które skrupulatnie zrewiduje
wszystkie pieczętki, hojnie przykla-
dane do papierków. Oto drugie —
komu wydano nawozy, materiał
siewny, narzędzia, artykuły konsum-
cyjne itp. Oto trzecie — komu przy-
znano kredyty? Dlaczego, kredyt na
konie dostali jeszcze i ci co mają
dwa konie i zrebaka, trzy świnie
i dwie krowy? Co zrobił z kredytem
na okrośnięcie cel nabywca? Zamiast
konia sprawił sobie wesele? Oto
czwarte — sprawdzanie Spółdzielni
Gminnej: ile i jakich towarów i na
kogo rozdzielono w gminie, co i dla-
czego rozsprowadza w miasteczkach
gminnych i w centrach gminnej, a do
gromady nie doszło?

W kilkudziesięciu tysiącach wsi
szykują się ostre bitwy klasowe,
które w swoim przebiegu zaprawia-
ten drugi front do gospodarzenia
na gromadzie w swoim zaś wyniku
otworzą nowe warunki na akcję
siewną, pierwszą pod plany planu
6-letniego, na akcję grup produk-
cyjnych, które poraz pierwszy do-
pięro od czasów kułacko - obszarni-
cznych Kółek Rolniczych, od zie-
miarńskich „Rolników”, od zwia-
ków branżowych, które opiekowa-
ły się bogaczami — skupia organ-
zacje różnych zakresów produk-
cyjnej w rękach chłopów na mie-
scu, w gromadzie. Znajdzie się pod
kontrolą tego frontu chłopów Spół-
dzielnia Gminna a tym samym i
brót towarowy i zbytu, będzie moż-
niam i warto poprowadzić grup
produkcyjnych bez liczenia na sam
parat skupu i dawny instruktor
Sama gromada postawi przed sobą
zadania produkcyjne, co do ilości
standartu, terminu, co do wzajem-
nej pomocy, wymiany doświadcze-
i kontroli. Będzie to jej walka
wzrost zamożności mało i średnio
rolnych, walka o wzrost ich siły
produkcyjnej na wsi, o podstawo-
wy wkład w sojusz chłopsko-ro-
botniczy — o realizację planu 6-let-
niego, który zakłada fundamenty
pod Polskę uprzemysłowaną i so-
cjalistyczną.

Plenum Sierpniowe Zarządu
Głównego Z. S. Ch. doceniło dyna-
mikę gromad. Nie patronowanie,
nie komenderowanie, „nie schodze-
nie do chłopca” — przeciwnie,
to chłopcy chcą mieć referaty, stawiać
i uzasadniać projekty, to oni chcą
aby ich przez wiele godzin słucha-
no. To oni chcą wyszkołowania sekre-
tarzy gminnych Z. S. Ch., oni potrze-
bują przeszkolenia swoich kierow-
ników grup, oni chcą swoją mło-
dzież, swych „prostych ludzi” wy-
szkołować na kursach, aby podolali
coraz bardziej skomplikowane apa-
raturze przedsiębiorstwa, jakim się
staje Spółdzielnia Gminna. Oni
chcą frontowi bogaczy i reakcji
przeciwstawić stały aktyw, stałe
kadry na gromadzie i chcą i chcą
szkołowania.

Chcą zatem szerokiego i gło-
bokiego sojuszu chłopsko - robotni-
czego. Pragną go we wspólnej z
robotnikami ideologii, bo „to nie,
że moja matka nie zna Engelsa i
Marksa, skoro w mojej bibliotece
znajdują się książki twórców so-
cjalizmu” — jak pisał chłop z kie-
leckiego. Pragną go w akcji łącz-
ności robotników ze wsią, nie tylko
w akcji gospodarczej ale również,
ale przede wszystkim politycznej
i kulturalnej. I jak najczęściej
jak najdłuższej, jak najbardziej
uczącej, jak najbardziej pomaga-
jącej do wyrównania sojuszu
robotniczego w produkcji rolnej,
jej postępie, jej wyższej organiza-
cji społecznej, w zwycięstwach
walki z kułakiem na wsi, z wyzy-
skiem i wstecznictwem.

Postawiliśmy na gromadę, gro-
mada stawia na nowy ustrój!

Bo jak pisał Lenin: „Klasa ro-
botnicza, robotnicza partia komu-
nistyczna, zdając sobie sprawę ze
swojego zadania, uporczywie, cier-
pliwie, szeregami stopniowych eta-
pów, budząc świadomość pracują-
cej części chłopstwa i idąc naprzód
tylko w miarę budzenia się tej
świadomości, tylko w miarę samo-
dzielnej organizowania się chło-
pów, posuwa się drogą ku nowemu
socjalistycznemu budownictwu”.

Jan Aleksander Król

TADEUSZ ORLEWICZ

HANDLARZE I SPÓŁDZIELNIE NAD PILICĄ

ROZMOWY W POCIĄGU

Linia kolejki, zwanej powszechnie grójecką, biegnie przez Piaseczno, Tarczyn, Grójec do Mogielnicy i do Nowego Miasta. Zaczyna więc swój bieg w Warszawie, przecina powiat warszawski, przelazuje się wzdłuż powiatu grójeckiego i wciśka się na kilkanaście kilometrów w głąb powiatu rawsko-mazowieckiego, kończąc swoją marszrutę niedaleko od Pilicy. Nie też dziwnego, że kolejka ta obsługuje setki dostawczych mleka i nabiału do stolicy, a w porze letniej tedy przepływa duża fala drobnicowego i hurtowego transportu owoców, szczególnie z grójeckiego, płynącego z wielkich sadów i pólnych drzew owocowych.

Płynięcie odbywa się strumieniem pokątnych dostawców i pokątnych handlarzy. Smutny obraz wielu łanusców w pośrednictwie, które daje żer różnym mniejszym i większym spekulantom, a konsumentowi przynosi towar drogi, bo z dziesiątych rąk.

Obraz ten mówi, że sieć spółdzielczych skup, która istnieje właśnie po to aby uchronić konsumenta przed zbędnym i kosztownym pośrednictwem, nie wrosła jeszcze w teren tak, jak tego wymaga rynek aprowizacyjny stolicy i potrzeby wsi.

Zresztą i w samej spółdzielczości terenowej, nie działo się dobrze, gdy panowało tam kumoterstwo, gdy górowały elementy, rekrutujące się z grona bogaczy i wyzyskiwaczy wiejskich, gdy legła się biurokracja.

Kiedy rozmowa w kolejkę dotykała tego tematu, wiele obiecywano sobie po nowych wyborach do spółdzielni gminnych, wyznaczonych na dwie pierwsze niedziele lipca.

W kolejkę jechał ze mną: chłop z grójeckiego, gospodarz na 3 ha; kobieta, która wiodła z Warszawy puste kosze po truskawkach i drugą, która wracała z kilkunastoma bankami po mleku i z koblaką, w której było przed tym masło i ser.

Ci moi przygodni towarzysze podróży otwierali stawali sprawę: do spółdzielni nie dostarczą, bo tam to kręca nosem, bo za mało dają, a właściwie wszystko dlatego, że, ten ów, co siedzi w spółdzielni, to ciągnie i dla siebie i dla swoich kumotów a na ogół nie dba.

Kim są ci którzy tak ciągną dla siebie i dla swoich kumotów? Chłop powiedział: „Ma 20 ha, dwóch parobków, robić mu się w roli już nie chce, to i zabral się do spółdzielni, bo myślał, że tak jak dawniej, co będzie chciał, to będzie robił”. Kobieta z koblaką po truskawkach mówi: „Były sklepikarz, kum ze wszystkimi bogatszymi ze wsi”.

HANDLARZE TOWARAMI ŁOKCIOWYMI

W Nowym Mieście widziałem „przy pracy” handlarzy dwóch branż: „łokciowych” i handlarzy bydłem, kłmi lub nierogacizną. Ci jeżdżą do jarmarku do jarmarku. W poniedziałek są w Nowym Mieście, we wtorek w Mogielnicy, w środę w Odrzywole.

W dni jarmarczne handlarze tekstyliami rozkładają towar na straganach, towar najczęściej w podległym gatunku, choć wzorzysty i biący w oczy rozmaitymi kolorami. Ceny na towarach są, bo jakże mogłyby być inaczej, ale to tylko dla wątpliwej odostry straganarskiego przedsiębiorstwa. Faktycznie bierze się znacznie więcej.

Chłopa dezorientuje to, że handlarz wcale nie spieszy się ze sprzedażą towaru. Działają tutaj nieuchwytna, a jednak wyraźna zmowa pomiędzy handlarzami, którzy ustalają obowiązujący dla czarnego rynku jarmarczny cennik i ustalają podział na odpowiednie asortymenty towarowe. Gra również fakt, że miejscowa spółdzielnia np. w Nowym Mieście jest źle zapraczona w odpowiednie tekstylia.

Widziałem przy pracy komisję cennikową, złożoną z dwóch osób. Starannie i dokładnie badają rachunki, spisują protokoły w przypadku uchybień, których jest na każdym jarmarku mnóstwo, konfiskują nawet towar (w wypadkach szczególnie jaskrawych). Ale prawdziwych efektów tej kontroli nie widziałem, bo przecież nie można uważać protokołu, konfiskaty czy mandatu za osiągnięcie pozytywne, budujące, twórcze.

Jak zdołałem się zorientować główny trzon komisji jest niezmienny, jak mówią na jarmarku w Nowym Mieście: „ten wysoki, chudy blondyn z Rawy”, a więc urzędnik starostwa. Jego pojawienie się na jarmarku jest sygnałowane z daleka wszędzie: „począł”, „podaj dalej”. Zanim rozpocznie pracę, to co może i powinno być schowane, znika w pobliskich domach, w przyczynach wozach, pod szerokimi spodniami handlarzy. Jeżeli komisja lustruje rząd straganów z tekstyliami, przekupnie zawieszają praktycznie sprzedaż, a kupujący staje i albo przysięga się rozprawić komisji z tym lub innym właścicielem straganu, albo czeka aż „nalot” przejdzie. A wtedy po staremu — cena na towarze leży, za inną zaś, znacznie wyższą, idzie sprzedaż.

Jest jakieś dziwne w chwilach „nalotu” porozumienie pomiędzy chłopstwem a jarmarczniemi prze-

kupniami, takie przymierze, jak pomiędzy pijawką a człowiekiem. Komisja odchodzi, a życie idzie dżym, złym torem, na którym lichwiarz i spekulanci zbija pęczniącą kabzę. Wydaje się, że w konkretnym przypadku takie metody, jak lotne komisje, odpowiednia polityka podatkowa, stanowią tylko częściowe rozwiązanie zagadnienia.

Lotne Komisje są złe, jeżeli składają się wyłącznie z czynników urzędowych. Tu bowiem powinny zagrać całą siłą swego uświadomienia klasowego miejscowe koła i komitety ZSCh, PZPR i St. L. Rozumnie, że dużą rolę w małych miasteczkach a zwłaszcza na wsi gra niezastępowalne kumoterstwo, często wywołujące się w warunkach wiejskich z mocno rozgałęzionego pokrewieństwa czy powinowactwa. Ale uświadomiony aktyw partyjny musi być od tego wolny. Jeżeli więc lotna Komisja cennikowa ma spełnić swoje

nie przy owych 500 zł, bo tego wymaga taktyka rutynowanego handlarza, a również gra i ambicja chłopca. Dokończono wreszcie targu i handlarz przeniósł prosiaki na swój wóz, a po paru dosłownie minutach owe prosiaki z Woli Półwiejskiej znalazły się na wozie chłopca z Rzezy, który dał za nie handlarzowi 30.000 zł, a więc dokładnie tyle, ile mój znajomy pragnął za nie otrzymać. Zysk handlarza na tej drobnej dla niego transakcji wynosił 6.500 zł, czyli po 3.250 zł na ręce prosiat. Wpadły one odrazu w ręce handlarza, który już przy wjeździe kupił je za 18 tysięcy zł. W dwie godziny potem innemu gospodarzowi ten sam handlarz sprzedał jedną parę spośród tych samych prosiat za 10 tysięcy, drugiemu — drugą parę za 9 tysięcy. Na wczel handlarza kwizła się jeszcze piątą prosiak. A zatem dwie godziny przyniosły spekulantom w zysku 1.000 zł i prosiaka.



zadanie, to chyba trzeba, aby były w niej reprezentowane wsie, które zazwyczaj uczestniczą w jarmarkach, oraz miejski aktyw robotniczy.

Komisja, którą obserwowałem przy pracy w dniu 18 lipca na jarmarku w Nowym Mieście, wykazywała mimo swego skromnego składu dużo zalet, ale odznaczała się tym, że praca jej sprawiała wrażenie jeszcze jednej rekrutacji odległości, która spada ze strony „władzy” pospółu — na przekupników i chłopów. Przy akompaniowaniu okrzyków pod adresem „przypatrzących” się „pracom Komisji” w stylu: „no i czego gęby rozdławiacie”, „czego tu szukacie”, „nie wasza sprawa, idźcie sobie stąd” nie dziwi takie nastawienie.

Trzeba, aby w społecznej kontroli cen na jarmarkach było mniej krzyków, a więcej wyjaśnień i pouczeń i to właśnie pod adresem tych, którzy przyglądają się, a których przedtem i potem przekupienie potrafi skutecznie podsukać. Nie powinno być tajemnicą dla nikogo, jak działa taka komisja, bo powołana ona została w interesie obywatelskim i dla walki z bękartami kapitalizmu: wyzyskiem, lichwą i spekulacją. Obywatelowi, który stał na czele takiej komisji w dniu 18 lipca w Nowym Mieście, niech te słowa starczą za usprawiedliwienie, dlaczego — mimo jego okrzyków — nie przestałem przyglądać się kontrolowaniu pierwszego straganu z materiałami.

NA TARGU BYDŁĘCYM

Na targu słońskim, bydlęcym i koneskim szaleje nadal orgia spekulacji. Na pierwszy rzut oka wszystko toczy się normalnie. Chłop przyjechał z koniem na sprzedaż ten i ów podejrzanie, zajrzy w zęby, pomać tu i ówdzie, pogada, odejdzie. I tak krąży ludzie od konia do konia, od krowy do jęlowki. Ale największą ruchliwość wykazuje paru za ledwie osobników. Są to handlarze bydła, koni i trzody chlewnej.

Bardzo mocno dostali oni po łapach właściwą, sżuszną politykę władzy ludowej, ale jeszcze gryzą, jeszcze tu i ówdzie złapią potężny ochlap zysku. Niedawno oni to dyktowali ceny i nikt nie mógł sprzedać bez ich wglądu i nacisku. Działają i jeszcze dmad działają w ścisłej ze sobą znowie.

W ubiegłym roku handlarze jeździli wozami po wsiach i w niewiarogodny sposób oszukiwali chłopów przy zakupie trzody chlewnej, zwłaszcza zaś prosiat. Dziś ten zyskowy dla wiejskich spekulatorów proceder urwał się, bo rozpoczęła się zbawienna dla chłopca akcja „H”, przysięży odpowiednie zarządzenia, a więc chętnie je podjęła. Ale akcja „H” nie usunęła np. handlu jarmarcznych prosiętami.

Pewien mój znajomy z Woli Półwiejskiej miał 4 prosiaki ważące po 30 — 35 kg. Pojechał z nimi w jedną ze stród majowych na targ do Odrzywoła. Postanowił wziąć po 15 tysięcy za parę, jako że prosiaki były ładne, białe i pęc pochodzili z rasy dobrych tuczników.

Ledwie wóz z prosiakami wjechał na plac, już mój znajomy znalazł się w obrotach handlarza. Po dłuższych targach handlarz kupił prosiatę za łączną sumę 23.500 zł, przy czym najwięcej gadania było wła-

Podobnie oczywiście sytuacja wygląda na jarmarkach z bydłem. Nie starałem się wniknąć w to, czy ten lub inny handlarz bydłem, koni czy trzodą chlewną ma zezwolenie na swój proceder. To w tej chwili nie jest ważne. Ważna i warta obserwacji jest organizacja pracy tych spekulatorów.

Istnieje na jarmarkach zwierzęcych doskonalie zmontowana zmowa spekulatorów. Czym można wyłomaczyć fakt, że mój znajomy z Gostomi sprzedał swego konia dopiero po 3 dniach targowych — to sprzedał go właśnie handlarzowi za pół ceny.

Działają tu wyraźnie porozumienie pomiędzy poszczególnymi lichwiarzami, którzy komunikują sobie wzajemnie wyniki dotychczasowych pertraktacji i wpołnie ustalają dalsze postępowanie.

Elementy spekulacyjne łączą wspólny interes i wspólny cel — opanowanie całego placu jarmarczny — sprzedających i kupujących. Jeżeli chłop przyjeżdża kupić konia lub krowę, znajduje się przy nim doradca, który gdzie potrzeba



z dyskwalifikuje zwierzę, wystawione na sprzedaż, a z reguły ofiarowuje swoje usługi w pośrednictwie, występując zawsze jako wybitny i niezawodny znawca. I transakcja pomiędzy handlarzem a kupującym dochodzi do skutku: handlarz bierze tysiąc lub dwa tysiące za pośrednictwo, albo sprzedaje konia lub krowę, już teraz z drugiej ręki, dobijając sobie znacznie wyższy, spekulacyjny zysk. Handlarz handlarzowi zazwyczaj w drodze nie wchodzi i każdy z nich może być spokojny, że zwierzę, kupione na jarmarku w Nowym Mieście przez handlarza, a nie sprzedane przez niego na tym samym jarmarku, pójdzie w ręce chłopie na inny jarmarku za znacznie wyższą cenę.

Handlarze zmocnopolizowali hurtowy skup prosiat. Chłopi gosłomcy, wólczańscy i pobiedzkańscy mówią, że do wyjątków należy fakt, gdy prosiaki chłop kupi bezpośrednio od chłopca. Wystarczy stanąć przy wjeździe na plac, aby przekonać się,

jak sprawnie i szybko działa lichwiarski monopol skupu.

Kim są ci handlarze jarmarczni? O tym mogą bliżej powiedzieć zapewne odpowiednie władze. Z moich pobieżnych obserwacji i z tego, czego zdołałem dowiedzieć się, wynika, że ta szajka krążąca od jarmarku do jarmarku, pozornie nie różni się niczym od tłumy chłopieckiego. Bo to i tak samo najczęściej ubrani, i twarze mają swojskie, i w obejściu nie wiele się różnią od reszty, a i wozem gospodarskim na jarmark przyjechać potrafią.

Ich aktorstwo i przez to zyskuje, że chłop normalnie na jarmark koni, bydlęcy czy słoński rzadko zagląda, może dwa razy w roku, rzę może i rzadziej. Nie zna więc tych, którzy stale jak sępy węszą tam żeru. W nocy każdy kot jest szary, a na jarmarku każdy jest dla sprzedającego kumpem. Dłepio obserwacja bliższa przynosi ślady konkretnej znowy.

Młody ZMP-owiec, syn i i pół-hektarowego gospodarza, który zawędrował ze mną na jarmark w Nowym Mieście, powiedział krótko: „Ci lichwiarze — to bogactwo, to kanale, którym nie chce się pracować, a tylko na krzywdzie ludzkiej żyją”.

Kiedy wracaliśmy wieczorem do wsi jeden z gostomiaków tak proponował rozwiązać sprawę: „Pytacie dlaczego tak się dzieje? A no jak się ma dział inaczej, gdy nasza spółdzielnia daje baczenie tylko na tuczniki. A po mojemu jak akcja „H”, to akcja „H” na całego. Ja np. chcę kupić sobie prosiaka. To ja idę do spółdzielni, placę, tyle ile się należy, biorę prosiaka i jadę do domu. A jak nie ma w spółdzielni prosiaków, to dostaję kwit i na tym kwicie ma być napisane kiedy i gdzie mam te prosiaki za moje pieniądze dostać. Tak to byłoby i chłopu i państwu lepiej, a wszelkie robactwo takie, jakie widzieliście dzisiaj, nie miałyby żeru i wyzdychałyby”.

Inny mój znajomy, poważny gospodarz, aktywny działacz SL, mówi tak: „Powinno być jak na tuczniki, tak i na prosiat jednolita dla danego okręgu gospodarczego cena, obowiązująca wszystkich. Odpadną wtedy różnorodne pijawki, bo chłop ulega sugestii ceny powszechnie przez spekulatorów narzuconej, nie znając mechanizmu i sprzęż, ceny te nakreślających”.

Podobnie rozumowania, mniej lub bardziej realne, snuli i inni — tym razem na temat znacznie na razie trudniejszy do urzeczywistnienia: skupu i zakupu koni i bydła. Jest w chłopach głębokie zrozumienie istoty walki z wyzyskiem, jest pełna aprobata dla spraw nowego lepszego jutra. Postawa bierna zaczyna zanikać, bo prawda o walce demokracji ludowej oponuje coraz silniej myśli i duszę chłopca. Ale wobec krwioplięców z gatunku handlarzy jarmarcznych jeszcze staje bezradny, bo pieniądza tego często dużo wsi, a pieniądza tego często dużo potrzeba. Tylko dalsze wzmoczenie

szybko został rozprzedany. Było to dwa tygodnie temu. Niewielka różnica w czasie, a różnica w cenie kolosalna. Aż 40 proc. Tyle każe sobie płacić spekulanci za to, że chłopu nie starczy cierpliwości na czekanie, aż w spółdzielni dostanie to, czego chce.

Obejrzałem jeden, drugi i trzeci sklep, nie mogłem dostać się do zakładu reżniczo-wędliniarskiego, bo był przy drzwiach niesamowity tłok i wiele kolejek. Dwa tygodnie temu, w dzień targowy, z szyb drzwiowych nie nie zostało, bo jakis „dowcipnis” pchnął tłum, poleciał z szyby i skończyło się na krzyku. Ile w tym „dowcipie” było głupoty, a ile tendencyjnej złośliwości, trudno powiedzieć. Ale ludzie, przezwadnie okoliczni chłopci, z „ogonka”, obok wymyślań na „dowcipnisia”, który w międzyczasie ułotnił się, żalili się, że tak można stać parę godzin i nic nie dostać.

W biurze Spółdzielni Gminnej „Samopomoc Chłopska” dużo ludzi; każdy jest obsłużony szybko przez kierownika spółdzielni, ob. Walentego Chmielewskiego. Nawiażując z nim rozmowę, przerywaną stale przez telefony lub nowych interesantów, których w dni targowe w żadnej spółdzielni „Samopomocy Chłopskiej” nie brakuje.

Otóż spółdzielnia otrzymuje w Tomaszowie Mazowieckim „przygotowany już z góry przydział z uprzednio ustalonym asortymentem. Stąd istotnie częste są fakty, że towary najczęściej poszukiwane przez członków spółdzielni, są „przydzielane w minimalnych ilościach, ale za to przysyła się towar drogi i rzadko na wsi poszukiwany (np. ostatnio przydzielono 100 m materiału w doskonalej gatunku na „niewymowne” w cenie ponad 500 zł za 1 metr...) Sytuacja na odcinku polityki przydziałowej, stosowanej przez Oddział Centrali Tekstylnej w Tomaszowie Mazowieckim, ulega ponoć stopniowo wyraźnej poprawie, ale musiałoby być naprawdę niedobrze, jeżeli poprawa ta nie może choćby umniejszyć rozpanoszenia się spekulatorów, jeżeli poprawa ta następuje dopiero pod wpływem interwencji kierownictwa spółdzielni Nowomiejskiej.

Spółdzielnia prowadzi własną masarnię, która obsługuje Nowe Miasto oraz dwie gminy: Lubania i Góra. Masarnia pracuje bez zysków, wyrabia kontyngent, wyznaczony przez Centralę Mięsną, a kontyngent ten przewiduje zapatrzenie w wędliny, przede wszystkim urzędy, miejscie i gminne. W projekcie jest otwarcie dwóch sklepów masarskich, przy czym jeden z nich obsłużyłby ludność miasteczka, drugi zaś — okoliczne wsie.

Alle spółdzielnia samopomocowa chłopska w Nowym Mieście nad Pilicą ma tylko sklepy. Jest ich obecnie 7, w tym, jak powiedziałem, jeden tylko w gromadzie. W najbliższym czasie do tej liczby mają przybyć dwa nowe punkty sklepowe w dwóch wsiach, a mianowicie — w Gostomi i Łegonicach. O Gostomi zresztą często słyszy się w Nowym Mieście, bo to i wójt gminy Góra z Gostomi i przewodniczący

produkcji przewiduje wytworzenie w ciągu najbliższej kampanii 100 tysięcy litrów spirytusu.

Kontraktacja trzody chlewnej poszła na ogół pomyślnie, a nawet Nowe Miasto wykonało plan kontraktacji w 120 proc.; wsie okoliczne jednak nie dotrzymały planu gospodarzom nowomiejskim. Dla kontraktantów rozprawiono 100 ton paszy treściwej. Wg sprawozdań spółdzielnia zakupiła w okresie od lutego rb. do 15 lipca rb. trzodę chlewną na ogólną kwotę 38 milionów zł.

Początkowo akcja „H” nie znajdowała w chłopach okolicznych zwolenników, bo reakcyjniści i spekulanci działali, namawiali do sabotażu. Chłop drobnorolny i średniak akcji „H” nie sabotował; do tego nie miał powodu ani sumienia przykładać ręki. Ale trwało ociąganie się. Kiedy jednak wypłacono odszkodowanie za jedną i drugą sztukę, kiedy poczęto dawać premie, atmosfera uległa zmianie, otworzyły się usta i padły ostre słowa chłopiejskie nagany pod adresem tych wszystkich, którzy akcji „H” szkodził w opinii wiejskiej. W spółdzielni nowomiejskiej wypłacono odszkodowanie za 15 sztuk i kierownik Chmielewski jest najlepszym myśli na przyszłość.

Spółdzielnia prowadzi także skup skór reglamentowanych i futer, skup lub wymianę lnu i wreszcie skup jaj. Widziałem taki skup w Nowym Mieście w dniu 26 lipca rb. Za 1 kg jaj płacono 240 zł, czyli mniej więcej po 12 zł za 1 jajko. Jaja zakupione natychmiast pakuje się do odpowiednich skrzyń i dostarcza do magazynów właściwej Spółdzielni Mięszarsko-Jajczarskiej. Trzeba przyznać, że skup ten odbywa się sprawnie i szybko. Jaką odgrywa rolę? Niewątpliwie ma duże znaczenie dla naszej gospodarki, nie tylko dlatego, że jaja są poszukiwanym artykułem eksportowym, ale również dlatego, że zmagazynowany zakup odgrywa bardzo skutecznie swoją rolę interwencyjną. Wyniki tego typu działania mają mieszkańcy wiejskich miast, zwłaszcza w przedmiejach wiejskich, kiedy jaja nagle znikają w sklepach prywatnych, by gdzieś tam ukazać się po spekulacyjnych cenach. Wtedy właśnie rusza aparat interwencyjny C.S.M.J. i określona ilość jaj, rzucana na rynek w odpowiednim czasie, uatraca wszelkie możliwości spekulacyjne. Ale na tym rola zorganizowanego spółdzielczego skupu jaja nie kończy się. W tym samym dniu pod koniec targu sprzedawano jaja po 11 zł za sztukę, a więc taniej niż oferowała spółdzielnia.

I wreszcie na konto osiągnięć, a raczej najbliższych pozytywnych planów spółdzielni zapisać należy dokonanie zamówienia zakupu na wózów sztucznych na sumę ponad 7 milionów zł oraz uruchomienie ośrodka maszynowego w Łegonicach, który będzie mógł w powodzenie obsłużyć gospodarstwa w Nowym Mieście i w gminie Góra a więc teren obejmujący ponad 20 gromad.

Spółdzielnia jest, pracuje i realizuje ambitne plany. Ostatnio odbyły się wybory do Zarządu; weszli nowi ludzie z Kwaśniewskim Wacławem, energicznym i ruchliwym członkiem PZPR, na czele. Powinno oczywiście się radykalnie atmosfera, przesiąknięta do niedawna kumoterstwem i intrygantem. Nowi ludzie, klasowo rozumiejący rzeczywistość, powinni w spółdzielni wzbudzić nowe życie, tym bardziej, że zamiast dotychczasowych 700 członków będzie ona liczyła około 2000 (w następstwie uchwały III Zjazdu ZSCh). Dziś obroty jej sięgają 16 milionów zł miesięcznie, za miesiąc mogą się podwoić i potroić. Ale mimo oddania sprawie i gorliwości ze strony nowego Zarządu, nie można pominąć milczeniem faktu, że personel spółdzielni jest bardzo słaby, że przy dużych obrotach ten słaby personel w liczbie 27 osób (bez kierownika i Zarządu) pracuje z najlepszą wolą, ale przy mizernych kwalifikacjach pracowników wyraźnie cierpi na tym spółdzielnia. Miejscowa Komisja Rewizyjna, działająca pod przewodnictwem prof. Jerzego Dawisona, stwierdziła, że spółdzielnia pracuje na najniższych w województwie kosztach handlowych. I tak m. i. miesięczny fundusz plac nie przekracza 240.000 zł, a więc jest to 1,4 proc. obrotu. Ale to nie jest objaw zbyt pocieszający, gdy praktyka wykazuje poważną nieudolność personelu. Trzeba wołać wielkim głosem o jak najszybsze przeszkolenie ogólno-handlowe całego personelu spółdzielni gminnych, trzeba domagać się, aby Centralny Urząd Szkolenia Zawodowego ewentualnie CZS, szkoliły przede wszystkim gminniaków, tych, którzy prowadzić będą gromadzkie sklepy spółdzielcze, akcję kontrolowania, akcję skupu zboża itp. To, co dziś dzieje się w terenie na tym odcinku, jest na dłuższą metę szkodliwe w swych skutkach, a i na dziś nie przynosi plusów spółdzielczości gminnej.

W drodze z Nowego Miasta do Gostomi myślę o beznamiętnym entuzjaku i wiary w nowe budownictwo, entuzjaku i wiary, które ludziom bez odpowiedniej kwalifikacji pozwalają tworzyć lepsze warunki dla najszerzej rzeszy ludzi pracy. Tym ludziom należy się nie tylko uznanie, podczas gdy spotyka ich często dyskwalifikacja nagona, ale należy się im pomoc fachowa, życzliwa rada i opieka.

Tadeusz Orlewicz

WACŁAW SZUMSKI

DROGA KOMUNISTY

Dziesięć lat temu, na drogach wiodących do Warszawy, niedaleko miasteczka Ożarów, padł śmiercią żołnierz Marian Buczek. Wymowa tej śmierci jest wstrząsająca. Dwa- dziesiątka lat istniał reżim sanacyj- ny. Przez szesnaście lat Marian Buczek był więźniem sanacji. Żył w walce o Polskę — taką, jaką wi- dział oczyma komunisty, bojownika o wolność ludu.



Marian Buczek.

Druga wojna ujawniła światu walczących od lat a — o ironio losu — nieznanymi najczęściej dotąd — bohaterów, tych, których w pierwszym rzędzie wychowywały partie komunistyczne różnych krajów. Bo wszędzie, gdzie wisił bicz faszyzmu, gdzie podlegała brunatna swastyka, gdzie wolnemu narodowi groziła brutalna napaść i przemoc faszystowska — wszędzie obrońcy ludu stawiali w pierwszych szeregach walczących. Takimi byli Ga- briel Péri i Fuczik, Marceli No- wotko i Marian Buczek. Takimi by- ły tysiące anonimowych bohaterów przedwojennego podziemia.

Siła, która konsekwentnie wska- zywała na niebezpieczeństwo faszy- zmu byli komuniści. Znany działacz KPP, Julian Brun-Broniewicz, pi- sał w „Odpowiedzi komunisty na deklarację Koca”:

„Obrona niepodległości jest nie tylko koniecznością, ale jest dziś sprawą szczególnie ostrą i aktual- ną, bo niepodległość Polski jest dziś bardziej zagrożona niż kiedykol- wiek... Polska graniczy na wscho- dzie i na południu z ZSRR i Cze- chosłowacją, równie jak ona zagro- żonymi przez potęgę hitlerowskich Niemiec i gotowymi do porozumie- nia z Polską w imię utrzymania pokoju. Polityka sanacji odrzuca wyciągnięte ku Polsce ręce...”

Polska jest dla klas posiadają- cych Polskę tylko dopóty, dopóki zapewnia im przywileje i zyski. Wolą raczej zagładę Polski, niż Polskę robotniczą i chłopską. Wolą Polskę oddać raczej Hitlerowi niż ludowi polskiemu.”

Komuniści odsłaniali narodowi prawdę. Walcząc z krzywdą spo- łeczną i wszelkim uciskiem w pań- stwie burżuazyjnym, zepchnięci do pracy podziemnej, odsiadujący cięż- kie wyroki sądowe, byli sumie- niem narodu. Ich prawdziwy, lu- dowy patriotyzm łączył się z walką o wyzwolenie społeczne. Życie Ma- riana Buczka jest wielkim przykła- dem zjednoczenia tych dwóch ele- mentów walki i pracy komunisty.

Życie Mariana Buczka to nie ty- lko dzieje szesnastoletniej karni wię- ziennej, nie tylko dzieje niestrud- żonej pracy wychowawczej „naj- starszego więźnia sanacji”, który zdobywał przez usilne studia wie- zienne, wiedzę teoretyczną przekła- dając ją na praktykę, kształcił młodych towarzyszy, a codzien- nym oddziaływaniem chronił przed załamaniem i przygotowywał do dalszej walki. W życiu Mariana Buczka także nieeliczne lata wolno- ści mają niezwykłą wagę. W latach tych Buczek wysuwa się na czoło obozu rewolucji, a postawa jego staje się symbolem drogi ideologicz- nych proletariatu polskiego.

W latach pierwszej wojny świa- towej młody Buczek walczył w sze- regach legionów, wierzył, jak wie- lu, w nową Polskę, ojczyznę wol- nych ludzi pracy.

W roku 1918 rodzi się wolna Rzeczpospolita, o której marzyły

pokolenia. Tworzy się Rząd Lubel- ski, opoczą czerwone sztandary na murach miast, w Czerwonym Za- głębiu i w całym kraju powstają Rady delegatów pracujących miast i wsi.

Marian Buczek w szeregach PPS Lewicy organizuje władzę ludową na Lubelszczyźnie, tworzy Milicję Ludową. Jest pełen entuzjazmu i twórczej energii.

Doświadczenia Mariana Buczka w tym okresie stanowią w skrócie lekcję jakiej polskim masom ludo- wym udzielił dwadzieścia lat II- ej niepodległości, dwadzieścia lat zdrady agend burżuazyjnych w ru- chu robotniczym.

Prawicowe kierownictwo PPS wydaje rozkaz rozbrojenia Milicji Ludowej — siły zbrojnej ludu, któ- ra chronić miała Rząd Lubelski. Marian Buczek opiera się rozkazo- wi. Prawicowe kierownictwo PPS wydaje doświadczonego bojowco- wi rozkaz przejścia z grupą dywer- syjną na stronę radziecką. Marian Buczek pisze: „Odmawiam wyjaz- du na pracę kontrrewolucyjną przeciw władzy radzieckiej i przy- stępuję do opozycji PPS”.

Osadzony na zamku Lubelskim, jako pierwszy więzień „ludowej” Polski, wychodzi Buczek po dwóch latach już skrzystalizowany ideowo.

Wraz z grupą PPS-lewicy staje Buczek w szeregach KPRP, prze- chodzi drogę, jaką wiedzie nieoba- lamucony proletariatu polski w sze- regach partii walczącej o rewolucję socjalną.

W szeregach Komunistycznej Partii Polski przechodzi Marian Buczek wielką szkołą rewolucji, w codziennej walce uczy się marksiz- mu-leninizmu. Uczy się trzeźwej oceny sytuacji własnego narodu i sytuacji proletariatu świata.

Osadzony wkrótce ponownie w więzieniu na lat osiem, wychodzi w roku 1929. Człowiek, który prze- siedział 10 lat w więzieniu, staje do pracy konspiracyjnej, jako jeden z czołowych działaczy KPP. Towar- zysze podziwiają jego energię i za- pał, trafną analizę sytuacji politycz- nej, talent organizatora i wycho- wawcy.

Robota partyjna w Warszawie, kierowanie organizacją partyjną w Katowicach, praca w Zagłębiu Da- browskim, potem znów Warszawa — to kolejne etapy krótkich lat wolności Mariana Buczka. W roku 1933 ma miejsce wielka „wspya” Komitetu Warszawskiego. Policja otoczyła dom, w którym odbywa- ło się zebranie partyjne, wygarniając czołowych działaczy KPP. Wpadł wówczas w ręce defensywy Marian Buczek, sekretarz Komitetu War- szawskiego.

Nowy wyrok opiewa na 10 lat więzienia. Marian Buczek staje się reprezentantem rzeszy więźniów po- litycznych, osadzonych w więzie- niach sanacji. Żądanie uwolnienia Mariana Buczka, ciężko chorego po latach karni, wysuwają robotni- cy na setkach wieców i masówek. W roku 1938 Wanda Wasilewska pisze: „Po stokroć narażał się Ma- rian Buczek na śmierć za wolność — niechże ci, którzy walczyli z nim razem, pomyślą teraz o tym, by nie umierał patrząc w okno przecięte kratą”.

Gdy nad Polską zawisła bezpo- średnio groźba agresji niemieckiej, więzienia Rawicza, Grudziądza, Warszawy, Wronek, osławiony obóz Berezy, zapelnione były komuni- stami — „wrogami Polski”. Oni to właśnie we wrześniu i w później- szych bojach zadokumentowali przelaną krwią swą wierność i od- danie ojczyźnie. W dniach burzy wojennej otwarli się wrota wię- zien politycznych. Setki, tysiące zmęczonych i wycieńczonych po- bytem w celach ludzi poszły, by na polach bitew bronić ojczyzny przed faszyzmem. Taka postawa komuni- stów wiązała się organicznie z ca- łokształtem ich działalności spo- łecznej i trudnej, wyczerpującej o lepszą przyszłość Polski, o jej cał- kowite wyzwolenie społeczne, o jej niepodległość byt.

Gdy przyszły lata ciężkich do- świadczeń dziejowych, komuniści, którym historia tylekroć przyzna- wała rację, stanęli w czołowych za- stępach żołnierzy w walce o wol- ność i niepodległość narodów.



Manifestacja Komunistycznej Partii Robotniczej Polski w Łodzi, rok 1919.



Proces komunistów w roku 1927.

Stanął na czele zdradzonego, po- rzuconego, zapomnianego przez do- wództwo oddziału żołnierzy Ma- rian Buczek, ten, który jeszcze po- przedniego dnia spoglądał i tęsknił do wolności za żelazną kratą Rawi- cza.

W bitwie pod Ożarowem zginął Marian Buczek, więzień sanacji, wierny do ostatka Polsce bohater- ski żołnierz.

Jego życie wplecione zostało w dzieje wielkiego procesu wykuwa- nia się nowej Polski. Jego dzieło prowadzą dziś dalej w Polsce Lu- dowej, nieugięte, jego współtowar- zysze z więzień i okopów fronto- wych, jego dzieło żyje i zwycięża wszędzie tam, gdzie toczy się wal- ka o wolność, o pokój, o lepsze ju- tro narodów.

JOZEF POGAN

W KRĘGU ROBOTNICZYM I W KRĘGU DWORÓW

Gdy wspominam tragiczny wrze- sień roku 1939, przychodzi mi na myśl życie wsi w okresie dwudzie- siotolecia międzywojennego. W okre- sie, który między jedną a drugą bu- rzą zapisał się w pamięci społe- czeństwa ponurą statystyką. By ją choć częściowo na tie wsi odtworzyć, uciekam się do przykładów „wch wsi w powiecie olkuskim koło O- cowa.”

Wiem pierwszą — to Jerzmanowi- ce (gm. Suliszowa), gdzie się urodzi- łem i 22 lata przeżyłem; wiem drugą — to Będkowice (gm. Cielonow- ce), gdzie przeżyłem 18 lat.

Obie wsie oddzielone pięciokilo- metrową przestrzenią, leżą tuż przy byłej granicy austriackiej, toteż ich uboższa ludność zajmowała się przed pierwszą wojną na większą skalę przemytem spirytusu, tytoniu i za- palnek. Węć sposób zarobkowania, a zatem i życia był w obu wsiach jednaki. Ale zaraz po wojnie ten stan się zmienił: biedniejszej, ubo- ższej Będkowice otworzyła się droga do leżących poza poprzednim kor- dąbem granicznym dworów i zwią- zana z tym swoista pańszczyzna; natomiast ludność Jerzmanowic mu- siała szukać wyjścia dalej, „w świe- cie”. I ta właśnie różnica odpływu do pracy zarobkowej odegrała pew- ną rolę w przyspieszeniu lub opó- źnieniu narastania świadomości spo- łeczno-politycznej mieszkańców obu wsi. Zbliżona do środowiska robot- niczego, ludność Jerzmanowic na- bierała uświadomienia szybciej; ludność Będkowic, wprężona w jarzmo sąsiednich dworów, nie bu- dziła się długo. Dopiero może po dziesięciu latach, gdy zarówno w przemysł jak i w rolnictwie bracko- wało pracy, gdy biedniejsza lud- ność skazana została niejako na los żebraczy — świadomość społeczno- polityczna mieszkańców obu wsi za- częła się powoli wyrównywać.

I

W KRĘGU ROBOTNICZYM

Zaraz po pierwszej wojnie „zbę- dni ludzie” Jerzmanowic, nie znaj- dujący w pobliżu zarobków, posu- kiwali pracy dalej: w kopalniach Zagłębia Dąbrowskiego. Przeważnie synowie biednych i średniorolnych gospodarzy. A ponieważ średnio- rolność było tam i jest nadal najwię- cej, przeto spóro młodzieży do Za- głębia odpływało. Było z tego za- dowolenie zarówno wśród rodziców, jak i wśród pracujących na siebie dzieci. Często przecież słyszało się: — „Zebyś ino jako pore lot przez er- pieć biele, bo jak chłopaki dorosną, to podo na Dąbrowo i bede jeść chleb”. Albo: „Mam w „yliku te marne zagony... Póde na Dąbro- wo i bede se żył... Hoho, na wieś już nie wróde, bo ni moho po co... Ozy- ła”.

nie sie w Zagłębiu i bede robił do us... śmierci”.

Szalona, bezustanna dewaluacja pieniądza, skaczące z dnia na dzień ceny towarów, nie przerażały robot- ników. Pocieszała się nadzieja stabi- lizacji walutowej, a tym samym po- prawa swego losu. Na niedziele czy święta przyjeżdżali do wsi dumni, poważni, schodzili się w grupki, po- pijali sobie i strzelali z dynamitu. Zaczynali mówić „po pańsku”, zar- towali sobie z gwary, z prymityw- nego, wiejskiego życia, z obyczajów, a nawet z „ojcówskich zagonów”, z fanatyzmu religijnego itp. Intereso- wali się też sprawami społeczno- politycznymi, godząc przede wszyst- kim w bałamucenie ludności przez kler, w magnatów i fabrykantów, a także w gburowatych bogaczy-chłop- ów.

Stabilizacja pieniądza, czyli zmia- na marek na złote, nie przyniosła robotnikom poprawy losu, a Jerz- manowic — „upragnionego szczę- ścia”. Zarobki były nadal marne i nie było nadziei na ich poprawę. Przeciwnie — sytuacja zaczęła się nawet pogarszać, bo wnet poszły powolne redukcje robotników. To zachwiało pozycją wiejskich prole- тариusz, ba, nawet średniorolnych, gdyż nie mieli nadziei na wysłanie swych dzieci do pracy w mieście. A gdy redukcje poczęły się rozze- rać, powstawał we wsi „kult zie- mi”.

— „Wszystko za nic, nojlepszy swój jaki taki zagon i chałupina — pow- tarzano. — Kopalnio i fabryka lno na tymczasem... Ni ma to jak własne zochylskach...”

Szukano więc tych „zachylsk” Biedniejsi chłopak żenił się z brzydką i starą panną, nawet z wdową, aby tylko miała kawałek ziemi. Również dziewczęta były jak wy- chodziły za mąż. W domach biednie- szych rodzin robiło się ciasno: zięć czy synowa z teściami, razem żona- ty syn czy zameżna córka, nierad- ko przy starych dziadkach — wszy- stko zaczęło „gnieść się razem na kupie”. A kto miał za co, kupował jakiś stary chlewik i na otrzymane działce klecił chałupinkę... Chów owiec zwiększył się w dwójnasób. Nie bez racji chyba śpiewali dzie- częta o tych „zachylskach”:

„Mówili se chłopcy, jo ich [podstuchala, Zynilbym się z kozą, żeby morgi [miała].”

Bogatsi gospodarze zaczęli coraz bardziej górować i drwić z byłych robotników: — „Dzis downo strzyli z dynamitu... downo nie chcieli pa- trzyć na ziemie... Teraz jakosik po- kochoł zgony... robi na nich i owce po nawsiu poso...”

„Umilowanie ziemi” doszło do tego stopnia, że nie było zebrania, na

k którym by nie przemawiano o „naj- droższych i świętych zagonach”. Takim mówcą w Jerzmanowicach był przez Kółko Rolniczego, Stani- sław Odrobina. Stał się on pośmię- wiskiem znacznej części chłopów, przeważnie biedniejszych i młod- szych. Nie rzadko chłopcy i przed kościółcem przedrzeźniali go: „No, droższe zagony”.

„Stateczni, poważni gospodarze nie mogli znieść tej rozpusty i wy- kolejenia działości. Bo jakie to? „Ziemia żywi, ziemia odziewa, ro- boty w kopalniach wzięły w łeb, a ta podła hołota przedrzeźnia go- spodarzy i zagoni!” Zaczął się nie- bywały antagonizm między bogatymi a biednymi. Bogatsi przyrzymali się organicznie, księdzu, baldachim nad nim nosili, a biedniejsi, zależnie od uświadomienia, patrzyli na nich zadróżnieniem lub drwiąco.

II

W ZASIĘGU DWORÓW

Gdy w Jerzmanowicach zaczęły się już na dobre przejawiać odruc- chy świadomości społecznej i za- ostrzyła się walka klasowa, w Bę- dkowicach wszystko było jeszcze nie- mał po dawnemu. Uboższa ludność zadawała się zarobkami w pobi- skich dworach. Tam pracując, nie przynosiła do wsi żadnego uświado- mienia społeczno-politycznego, naj- wyżej westchnienie do Boga nad własnym przemęczeniem i biedą. Oczywiście, było we wsi paru nie- co uświadomionych lewicowców — biedaków, lecz ich stosunek do zło- go ustroju był tłumiony przez „przy- wódców” wsi, klerykalnych bogaczy, za którymi opowiadała się większość ludności. Bo jak od wieków, tak i przez pewien czas po wojnie — uważano i szanowano tylko pobo- żnych bogaczy i im we wszystkim wierzone. Ci nadawali całej wsi ogólny ton. Cóż mogło znaczyć pa- ru postępowych biedaków bez po- parcia robotników? Działali jakby „sami dla siebie” i stali się w oczach większości demagogami, wy- stępującymi przeciwko uświęconym tradycjom, religii, moralności itp. Przegrzywali więc w słusznej spra- wie nie tylko z bogaczami i klery- kałami, ale nawet i ze średniakami, a częściowo i z wyrobnikami dwor- skimi, którzy, jeśli nie byli ich przeciwnikami, to przynajmniej byli obojętni na sprawy społeczno- polityczne. Oczywiście, że zdarzały się skargania na zły rząd, lecz naj- częściej dopatrywano się w swojej biedzie i poniżeniu przeznaczenia losu, kary boskiej itp. O socjalizmie nikt nie myślał i na listę socja- listyczną mało kto w czasie wybo- rów głosował.

Przyszli jednak czas i na Bę- dkowice, choć w parę lat później. Zaczęło się jednocześnie z ogólnym „kryzysem” Polski. Rozdrabnianie

średnie gospodarstwa wypychały coraz to więcej zuboższej ludności do dworów po prace, której już zaczęło brakować. A jeśli ktoś otrzymał ro- botę, to kosztom wydalenia jeszcze biedniejszego lub słabszego. Poszu- kiwano pracy dalej w miastach, ale już bezskutecznie. Biedacy przera- żali się, dla średniaków było to ostrzeżenie dla lepszego „umilowa- nia ziemi”. Dzieci swe żenił i wy- dawał tylko „na ziemię”. Bezrobot- na biedota też szukała „zachylsk”. I znów: „zynilbym się z kozą, żeby morgi miała”. Wznieśli się do ki- szczek pół, wyporządali chlewiki na mieszkanka, lub klecili poza wsią leplanki.

Wiadomo, że z tej biedoty gospo- darze mieli korzyść i na niej wła- śnie w czasie pracy „odbiłali se” straty, będące wynikiem kryzysu gospodarczego. Poprzednie wynag- rodzenie za dziennej pracę spadło z 2 zł 50 gr do 1 zł i 10 gr.

W takiej sytuacji zaczęło się przekłinać życie i zadręczyć z jed- nej strony, a pogarda z drugiej. Wzajemna nienawiść potęgowała się z dnia na dzień. Na takim dopiero gruncie słowa paru owych lewico- wych biedaków znajdujących posuch u biedoty, której mocno przeciw- stawiała się kilka bogaczy i klery- kałów.

III

NA DROGACH I MANOWCACH

Jak widać na przykładzie Będko- wic, fali nowych prądów społecz- nych nie uda się nieczym powstrzy- mać, najwyżej można ją opóźnić. Ujarzmiona przez dwory wieś do- szła wreszcie do zrozumienia swej sytuacji.

W tym miejscu niejednemu z czytel- ników chciałby zapytać: „Co to za wieś?... Skąd takie w niej zapo- źnienie polityczne?... Przecież już od przeszło trzydziestu lat rozwijał się w Polsce ruch ludowy... byli prze- cież uświadomieni przywódcy lu- du... Czy żaden z nich nie dotarł do tej okolicy?...”

...

Ale ich działalność rozpoczęła się dopiero po roku 1930, a więc wte- dy, gdy już grunt pod pracę rewolu- cyjną był nieco przygotowany. Przedtem, a także i potem zagląda- li do różnych wsi innej politycy. Np. posel z „osemki”, a późniejszy wi- ceminister Józef Ostachowski z Su- liszowej. Był on niby chłopem, ale jakim i po której szedł stronie? Je- go rodowód: był synem bogacza i wnukiem księdza Jagodzkiego, or- gnis proboszcza w Jerzmanowicach.

W sąsiedniej wsi Łazy, bogaty Mirek przeszedł aż trzech synów na „działaczy społecznych”. Jeden był instruktorem Pow. Tow. Kółek Rolniczych w Olkuzi, dwaj — in- struktorem Kół Młodzieżowych „Siew”. A więc sanacyjne służusy. Takich polityków czy opiekunów wsi można było więcej naliczyć.

Dopiero po roku 1930 zaczęli dzia- łać: koło Jerzmanowic — bracia Chocholy, koło Ojcowa — Grzybowski, a wokół Będkowic — Ludwik Strychalski z Kobylan, pow. kraw- kowskiego, też członek KPP. Stry- chalski i Chocholy siedzieli już przed tym w więzieniu za politycz- ną działalność. Tacy ludzie mogli dopiero w biedniejszej masie wsi wszczepiać (choć dość ogólnie i skrycie) lewicowe przekonania. Tym bardziej znajdowali posuch, że ucieszenie i maltretowanie bied- nieszszych mas dochodziło do szczy- tu. Świadomość życia i jego celów najdobitniej dociera przez doświad- czenie, czyli zdobywa się je przez tzw. „próbę ognia”. A przez tę „pró- bę” po r. 1930 każdy biedniejszy chłop przeszedł. Ta „próba” była rzadowe upomnienie za podatki, oddzielenie za każdy rodzaj. Koszto- wały po 1 zł 50 gr. i gdy np. ktoś miał trzy morgi w trzech kawał- kach, otrzymywał dwadzieć upom- nienie na sumę 13 zł 50 gr. Po upo- mniennach przychodził sekwestrator i doliczał znów drugie 13 zł 50 gr., a ogłoszenie licytacji też tyle ko- sztowało. Bywały częste wypadki, że koszty egzekucyjne przekraczały dziesięciokrotnie sumę podatku! A upomnienia sypały się jak „z rogu obfitości”, biedniejsi bowiem, a często nawet i średniacy, nie ma- jąc zarobku, ledwie „pyski obzy- wali” i na konną robotę w polu u bogaczy zapracowali. Dla takich zagadnienie kupienia na zimę lichej buciąt było naprawdę nie do rozwiązania. Nie pili więc, po- ciesząc się, że im „sekwestrator dzie- ci” tymczasem nie zabierze, a później wybuchnie wojna czy re- wolucja, bo przecież tak daleko być nie może”. Mylili się nieszczęśli, bo sekwestratorzy dawali sobie radę: zabierali zboże, ostatnią krowę, ko- zę, poduszki, sieczkarnię i inne przedmioty.

Ściąganie podatków przy pomocy pałki i bagnetu — to dopiero jeden z wielu przykładów ucisku bieda- ków! Gdyby sobie zadał trud wy-

liczenia ich na podstawie własnych obserwacji i doznań, sam bym się dziś tym zatrwodził.

W takiej sytuacji życiowej rewolu- cyjna propaganda znajdowała po- słuch i budziła bunt przeciwko pa- nującemu porządkowi — przeciwko rządowi, magnatom, fabrykantom, miejskiej burżuazji, klerowi, i wiejs- kим bogaczom. Ci oczywiście nie pozostawali dłużni. Rząd wymyślał i stosował wszelkie środki unicie- stwienia lewicowych prądów, księ- ża zabawiali się w „tajnych detek- tywów” i grmili z ambon, a bogac- ci i klerykały chętnie szli na usługi rządu i księży.

Zainteresowanie sprawami spo- łeczno-politycznymi i antagonizm między bogaczami a biedakami siłą rzeczy wpływały znacznie na czy- telnictwo gazet. Czytelnicy „Małego Dziennika” i „Rycerza Niepokalan- nej” sięgali coraz częściej po ende- ckie pismo „Wielkopolska”, czytel- nicy „Naprzodu” i „Robotnika” po „Chłopską Prawdę”, „Złoty Wiek”, nawet „Wolnomysłciela”.

Bogacie wiejskie i ich klienci to środowisko, w którym głosowały wpływy endecji i kleru. Biedota wiejska, poddana w dużej mierze wpływom lewicowego podziemia, zrozumiała oblicze sanacyjnego re- żimu i jedyne swe zbawienie upa- trywywała w przewrocie społecznym.

Jedni ufali lewicowej prasie, ostrzegającej przed niebezpieczeń- stwem hitleryzmu i faszyzmu, inni tłumili się niebezpieczeństwem ze strony Rosji. To zaśłepienie nie ominęło bodajże żadnego ożonowca. Bo już w roku 1939 „bohater” po- konywania biedoty przy ściganu- ku podatków, komendant policji z Oj- cowa, Kwiecień, krzyczał głośno na zebraniu Rady Gromadzkiej w Bę- dkowicach, że „skupiony naród pol- ski w OZN musi przy pomocy in- nych jeszcze sił pokonać najstrasz- niejszego wroga ludzkości — komu- nistyczną Rosję”. Również takie kazania wygłaszał ów piewca „naj- droższych zagonów” Stanisław Odro- bina w Jerzmanowicach. A 10-go kwietnia 1939 r. na zebraniu Gmin- nego Komitetu (czy Zarządu) LOPP — po staroście Stamirowskim, prze- mawiał na temat przyszłej wojny... (oczywiście z Rosją), rdzenny Nie- miec, Błażej Himmel z Ojcowa, pre- zes Gminnego Zarządu LOPP. Póź- niej w czasie okupacji niemieckiej okazał się jawny mi prawdziwym hitlerowcem i współpracownikiem zandarmierli i Gestapo. Wtedy do- piero jego przyjaciele OZN-owcy dostrzegli w nim wroga polskości.

...

Józef Pogan

MELPO AXIOTI

A P E L

Zamieszczamy fragment najnowszej powieści współczesnej pisarki greckiej, Melpo Axioti, pt. „Dwudziesty wiek”, która ukazuje niebawem nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego.

Axioti jest nie tylko pisarką; należy do Komunistycznej Partii Grecji i prowadzi na emigracji — głównie we Francji — ożywioną działalność na rzecz Czerwonej Grecji. Ostatnio brała czynny udział w paryskim Kongresie Pokoju.

„Dwudziesty wiek” — to powieść oparta na podłożu autobiograficznym; główną bohaterką jest kobieta imieniem Poliksena, rozstrzelana przez „Germano-Greków” w obozie koncentracyjnym. Ale powieść to jest również historia greckiej partii komunistycznej poprzez wojnę i okupację, aż do epoki interwencji anglosaskiej czyli do dnia dzisiejszego (akcja powieści kończy się 1-go grudnia 1946 r.).

Rozdział ostatni książki — pt. „Apel” (tytuł pochodzi od tłumacza), to fragment dnia powszedniego grupy komunistów greckich, zamkniętych w więzieniu przez reakcyjny rząd. Przedstawiciele wszystkich warstw społecznych — od pastuska z Epiru do wybitnego pianisty, ojca Polikseny — walczą z bronią w ręku po górach, w podziemiach stolicy, za kratami więzień. Fragmenty pamiętnika gen. Makriannisa są żywym programem działania, nie tracącym aktualności w obecnej chwili dziejowej.

rk

Niechże kto opowie coś jeszcze przed wieczornym apelem.

No to ja chłopcy, idę na pierwszy ogień. Opowiem wam coś takiego, że po prostu boki zrywać! — zawołała młoda jasnowłosa dziewczyna.

Uciszyło się zwolna; wszyscy znów się porzucił.

Było to po zakończeniu walk grudniowych, w moim pierwszym więzieniu. Byliśmy obstawieni tuzinem żandarmów. „A ocy, ocy...” — zwracali się do mnie z pytaniem. — „Ilu ludziom wytułiasz oczy?” — „Nie! ja nikomu oczu nie wytuływałam, ja byłam od sprzątania kłozetów...” Byłam pielęgniarką okręgu Thymarakia. Cała moja robota, to były właśnie — kłozety. Czy wypada mi tak mówić? — a! mniejsza o to!... W każdym razie — do samego wieczora dali mi święty spokój; podzieliło to na nich tak, że się od razu uspokoiło — niczym kokoszka, wrzucona do wody. Potem przyszli, powiedzieli: „No, idźże sobie do diabła!” — i zwolnili mnie.

— Brawo, Klio! Udało ci się mnie rozśmieszyć...



Partyzanci greccy przed rozstrzelaniem.

— Patrząc go: więc wróciłeś, mój stary Zachariasz! — krzyknął nagle szewczyk. — To właśnie do mnie, do Simosa przychodzisz w odwiedziny, co? Chodź-no tu, dam ci trochę okruszyn.

— Powiedz nam, szewczyno, czy to twój syn, ten Zachariasz?

Olbrzymi bury szewczur z czerwonymi ślepiami i długim, włokącym się za nim ogonem sunął na przełaj po podłodze, ocierając się o ciała leżących więźniów.

— Chyba to już głęboka noc, kamraty! Szczur Simosa już jest, to i wszystkie inne powychozą z nor — tylko patrzeć! Przypomnia mi to szczur, gnieżdżące się w kosciny: co noc zdobywały ją szurmem. Trzeba było trzymać straż, gdyż baliśmy się, że zająca pożerać trup. To też ja osobiście wszystkie leżące tam trupy liczyłem, żeby je wciągnąć do spisu: ofiary głodu, ofiary Oporu, ofiary Grudnia, no i ci teraz!

W tej chwili ojciec, leżący do tychczas nieruchomo, odwrócił się do Emila, który siedział obok niego: „Nie zdążyłaś nawet zobaczyć na własne oczy ostatnich wydarzeń: walk grudniowych... i tych najświeższych... Może i lepiej, że się tak stało. Jakbyś sobie wybrała moment najstosowniejszy...”

— Tak: są rzeczy, których nie zdążyła zobaczyć, ojczeco... Zesłanych do Afryki, którzy cudem oca-

leli od śmierci w krematoriach; tłumów ludności, uciekającej — dla odmiany — właśnie z północy na południe; mężczyzn, powyprawianych z domów i wyprawianych na wyspy; dzieci, powyciąganych z łóżeczek i wysyłanych na plac kaźni...

— Kto z kolei obejmuje teraz wartość? — spytał Thanassis. — Poręba na zmianę.

Dwóch spośród obecnych mężczyzn wstało i podeszło do drzwi, żeby zastąpić tych, którzy pełnili wachtę do tej chwili. Więźniowie narzucili sobie ten obowiązek sami: żeby zapobiec wszelkim niespodziankom.

Nagle rozległ się głos: „Chodź-no tu co prędzej, Thanassis! Chodźcie tu wszyscy! Michał pluje krwią!”

Wszyscy rzucili się w stronę, skąd głos dobiegał. Chwiejnym krokiem poszedł tam za innymi ojciec. Gdy chorey ujrzał go, pochylonego nad sobą, rzekł:

— Przysuń się bliżej! Jaka ona była do ciebie podobna! Po prostu ta sama twarz... Poznałem twoją córkę, towarzyszu, osiem lat temu; przyszła do mnie, przynosząc mi paczkę...

— Przestań Michał, tobie nie wolno nie mówić; bądź cicho!

— Dlaczego nie wolno? Od dwudziestu już lat ciągnie się to moje choróbko! Dziś bynajmniej nie mań jeszcze zamiaru umierać!

To mówiąc potoczył w kolo oczami po twarzach wszystkich, którzy nad nim stali.

— „A potem, przed samym odejściem, Poliksena zapytała mnie: „Towarzyszu, czy mogę was ucałować?” — Owszem — odpowiedziałem — jeśli się tylko nie boisz...”

Włók schyliła się i pocałowała mnie w policzek. „Popatrz, popatrz!” — myślałem sobie. — Oto młoda dziewczyna, taka świeża i piękna, przychodzi do ciebie i mówi ci: „Towarzyszu!” I pomyśleć, że kiedyś było nas zaledwie mała garstka!... A teraz — już ci ją zamordowali!...

Krew zaczęła mu kapać z nosa kropką po kropki.

— Jakis ty nieposłuszny, Michał! Bądź-że cicho... — rzekł Thanassis.

— A właśnie że nie będę posłuszny! — krzyknął Michał i zerwał się z podłogi, stanął wyprostowany. — I w sanatorium w Sotirii też nie byłem posłuszny! „Nie wychodź, nie wychodź!” — krzyżeli moi kumple. — Bo dostaniesz kulke w lepytnę! Ale ja ich nie usłuchałem i wyszedłem. Anglikom nie udało się zająć budynku. My wciąż jeszcze broniliśmy się. Przyszli więc delegację z wezwaniem, żebyśmy się poddali. Moi kumple powtarzali: „Nie wychodź, bo położą

Wnet wszyscy poukładali się czym prędzej na ziemi i zastygli w bezruchu — zupełnie jak na jakimś przedstawieniu. Ale tak jak po burzy morskiej, gdy znów zwolna ustala się cisza i tylko jeszcze woda wciąż drży na głębinach — w sercach więźniów wszystko jeszcze wrzało.

Każdy z osobna, spokojnie i w milczeniu wyruszył teraz w pogoń za swoim marzeniem.

Pierwszy więzień myślał sobie: „Próbuję chwycić nas w łapy; szukają tylko sposobności, żeby nas wysłać gdzieś do obozu.

„Ilu więźniów utłuką? Wszystkich? — rozmyślał garbus. — I co potem? Przelana krew zawsze wola o pomście! Niech ta krew spadnie na ich głowy!” Zaczął gmerać po kieszeniach, szukając papierosa. Ale nie znalazł.

„Gdyby żyli moi trzej synowie, których mi Włoszyska pomordowała, zaraz by się okazało, czy by nie wyciągnęli mnie stąd — i to mi-giem! Właśnie gdyby przy życiu był Dyzio... Utraciłem wszystko — nawet łaskę! I co dzieje się z moim stadem? Kto go strzeże dziś na pastwisku? A może się rozbiegło?”

Tuż obok jakaś kobieta przebiegała odruchowo palcami: „Co to takiego było, o czym pisała mi córka w swoim liście? Aha! przypominało mi się: „Tu, na tych wy-pach, gdzie słońce przepaliło ziemię na wskroś, dzieci umierają na łonach matek. Jest tu takie jedno, które ma dwa lata i czym tu je żywić? gdzie je do snu ułożyć?” I pomyśleć tylko, że ona nie ma tam ze sobą choćby jakiej spódniczki!”

Ostatnim, który leżał w tym rzędzie, był więzień, chodzący stale w berecie. W tej chwili zdjął go właśnie z głowy i zaczął obracać w palcach szepcząc: „Czy aby przypadkiem nie zapomniałem tu w więzieniu o Maro? Nie, nie zapomniałem jej! Tylko, że obecnie co innego leży mi na sercu... Moja matka miała stopień kapitana i teraz ja — jej syn — noszę po niej ten beret”. Natychmiast włożył go z powrotem na głowę, ściągając trochę na lewe ucho.

Spod przeciwległej ściany Thanassis posępny spojrzeniem... wodził po całej celi: „Trzeba roztoczyć opiekę przede wszystkim nad tymi, którzy się mazażą — myślał. — Brak im doświadczenia — są przecież wśród nich tacy, którzy dostali się za krótko po raz pierwszy. Nas jest teraz tak wielu! a była nas — jak to słusznie zauważył Michał — ledwie mała garstka! Ja osobiście zaczynam się już przyzwyczajać do pobytu w więzieniu — od dwudziestu kilku lat wciąż jestem w ogniu walki. Byliśmy wszędzie, gdzie tylko toczył się bój. Jedni walczyli w Rosji, inni — w Hiszpanii, wszędzie — aż po Indie, bośmy się na jednym z zebrań zobowiązali, że staniami tam do walki. I wszędzie wyciągały się do nas ludzkie dłonie, żeby złaczyć się w uścisku z naszymi. I ci, co potoneli w czasie przeprawy przez Atlantyk i ci, co padli na ulicznych brukach i inni, co — jak orły — mają siedliska na wierzchołkach gór... I wreszcie my sami — tu w kraju, który jest dla nas wieniem. Zaczęliśmy tę swoją walkę dwadzieścia pięć lat temu, u boku starszych towarzyszy, a dziś kończymy ją, mając u boku innych”.

Jakis dzieciak z najciemniejszego kąta celi przepelził do kobiety, która tego dopiero dnia tu się znalazła. Zastanawiając się ręką usta, zapytał ją po cichutku:

— Jak się nazywasz?

— Biatrixo — odpowiedziała.

— Chodziłaś do szkoły?

Kobieta potrząsnęła głową — na znak, że nie chodziła.

— Ja — ciągnął dzieciak — najpierw korzystałem z wózka do zabawy. Kładłem do wózka amunicję i rozwiołem ją walcząc. Miałem wtedy dziewięć lat. Teraz mam piętnaście... Później otrzymałem awans i moim zadaniem — w okresie walki — było pilnować kapitana Mourat, żeby przypadkiem ktoś na niego złapał nie napadł; pokrzykiwałem go także na duchu. W grudniu miałem już strzelbę! Dostałem ją na własność! Pewnej nocy strasznie rozgrzała się od strzelania a nie było wody — więc nasusiałem na nią, żeby lufa ochłodziła się trochę. Potem — kiedy oni zawarli ugodę — byłem zmuszony strzelbę oddać. Ale na-bójów, to nie oddałem wrogowi ani jednego: zużyłem je wszystkie, strzelając po prostu w powietrze! Dostał samą strzelbę — i basta!

— Zgubiłeś swoich rodziców, przestałeś chodzić do szkoły... — szeptała kobieta. — I byłeś na wojnie... ty, bidny dzieciaku! — Wzwał chustki, którą miała przewiązane oko, podrygiwał jej z tyłu na głowie.

Przez małe okienko w ścianie ktoś coś wrzucił do wnętrza celi. Nikt nie wiedział, kto to uczynił. Dzieciak rzucił się namiętnie: „Towarzyszu Thanassis, gazeta!”

Thanassis spojrzał przelotnie na pierwszą stronę złożonej w czworo gazety i schował ją do kieszeni. Pochylił się do ucha sąsiada:

— Został o świcie rozstrzelany.

— Kto?

— Syn starej Roido.

tłumaczył ROMAN KOŁONIECKI

BAZYLI ROTAS

GŁOWA TOWARZYSZA*)

Orzeł w szponach trzyma
uciętą głowę bohatera

podziwia jej dumę
zazdrości jej męstwa

jak przed bratem, przed druhem
skarży się orzeł i mówi:

Głowo! Królewskim jestem ptakiem
wzbijam się uderzeniem: skrzydeł

igram z gromem ja — orzeł
leczący ponad chmurami

— Ptaku! Jestem towarzyszem
towarzyszem kapitanem

nie mając tułowiwa walczyć
nawet bez skrzydeł lecę

męstwo i dumę czerpię
u towarzyszy moich

jest ich jedynie garstka
— nie ptaków i nie zwierząt,

Oni są kwiatem ludzkości
dumą i sławą świata.

tłum. E. Martuszewski

*) Wiersz jednego z czołowych poetów walczącej Grecji, autora hymnu EAM-u.

Z KONGRESU BOJOWNIKÓW O WOLNOŚĆ I DEMOKRACJĘ



Księża-demokraci, delegaci na Kongres Bojowników o Wolność i Demokrację.

Uważam, że wypowiedzi ludzi walczących o pokój — o sprawiedliwość dziejową, byłyby niepełne, gdyby zabrakło głosu Polaka kapłana.

Każdy z nas Polaków, ma tę świadomość, że zanim stał się katolikiem, to już urodził się jako Polak.

Jestem synem robotnika folwarcznego. Obiecywałem sobie, że gdy zostanę kapłanem to będą opo-

wiadał o krzywdach jakie się działy robotnikom folwarcznym. Patrzyłem na marnotrawstwo i patrzyłem na luksusowe polowania, widziałem, jak kilkumorgowy gospodarz był do-szczętnie rujnowany za podatki, a obszarnek zalegał na dziesiątki tysięcy.

Tego wyzysku teraz nie ma. Teraz stało się zadość sprawiedliwości.

(Z przemówienia księdza Pasternaka)

JERZY LAU

MAPA SERCA

(Fragmenty poematu o gen. Świerczewskim)

Za wolność —
waszą i naszą
zostałem generałem,
— pieśnią narodów,
— sercem na mapach.
Ludy prósują już
plecy horyzontów,
z rąk do rąk
podają rewolucję
— w obronie pokoju.
Jak zamek karabinu
błyska wrogowi
twe imię:
— Walter!

Drugi towarzyszu,
pachną gałęzie jodły,
a ty liczysz słoje życia,
ciszej, prościej...
A serce tka
czwarty sztandar
na piasku
— rodzinnym,
na ten bój, ostatni
— dla nas.

To grają kaemy,
nie tokarka twoja,
nie drzewko dzieciństwa,
— to wróg gada żelazem,
upowski faszysta,
młyn kręci wrzeczonym
w jarze krwawego słońca
— a ty pierwszy raz
kuli się kłaniaasz.

Widzisz tokarkę,
klatkę z ptakami
i skrzydła na szybach,
fabrycznej hali,
gdzie krzyczą iskry,
drapieżne ptaki blasku
i mróz ścina błękit żelaza.
— Na fabryce Gerlacha
została tokarka
i sypie śnieg
tamtych opilków...

Carski czas wtedy
chodził urzadnikiem,
batogiem gnał
carskie ruble,
Czarne płuca
ludzi i maszyn,
czujne ręce
uczyły Marksa.

Lecą kule na wietrze
— nie acetylenowy śnieg,
tokarz jest cietrzewiem,
drzazga napięte mięśnie,
biegną chłopcy tyraliera,
lepkie żelazo na mrozie
sople palców są obce,
milczą boleśnie,
choć czerwono
kapie żywica żelaza
i pachnie walką
żołnierzom Ludowej.

Dziś dzieci w szkole
znają mapę twojego serca,
że Polski bronili w Madrycie
nad Ebro i Terruelem,
jak Błysk granatu
nad Wisłę przynosił:
„Arriba parias de la tierra!”

Słońce brązowe,
na drzewach miedziane orzechy
i rzeki błękitne,
rzeki zielone
króili jak noże
ziemi hiszpańskie
z kamieni i łez.

„Chcę pić!”
„Ostrożnie generale,
to bandaż, nie sztandar
Czerwonej Hiszpanii!”
I pomsty szukają
żołnierze w ataku.

Melpo Axioti
*) Makrianniss — bohater ludowy, jeden z najsławniejszych generałów w wojnie o niezależność narodową Grecji w r. 1821

JACK LONDON

LUDZIE OTCHŁANI



Nocą parki londyńskie pełne są bezdomnych.



Policja strzeże porządku.

JERZY FALENCIAK

»DOBRA, STARA ANGLIA«

„Wszystko to działo się pomiędzy godziną szóstą a siódmą wieczorem, dnia dwudziestego sierpnia, roku pańskiego tysiąc dziewięćset drugiego w sercu największego, najbogatszego i najpotężniejszego imperium świata”.

Gdy Jack London, energiczny i wszechwładny pisarz amerykański, postanowił zwiedzić East End — ostoję nędzy — spotkał się z pełną niesmakową dezaprobatą. „To niemożliwe”, mówili przyjaciele londyńscy. „To rzecz bez precedensu”, oświadczył zaszkolony urzędnik biura podróży Cooka, gdy ekscentryczny turysta zwrócił się do niego po bliższe informacje o celu parominitutowej wycieczki. Nawet doręcznik zdumiał się, gdy osobliwy gentleman kazał się obwozić po ulicach East Endu.

East End, to sprawa, o której się w stolicy imperium nie mówi; odległy jest o pięć minut drogi od dzielnic eleganckiego Londynu, ale świat głodu i bezdomności, ponury kraj „ludzi otchłani” oddziela od świata sytych i możnych najpotężniejsza bariera — klasowego wyzysku i klasowej obłądki.

Jack London zajął za kulisy imperium, odstąpił podstępnie kapitalistycznej „prosperity”, nieaktownie, wbrew wszelkim zasadom angielskiej przyzwoitości, ukazał dzieje wydziedziczonych potomków „królów morza”.

Warto przypomnieć dziś doświadczenia opatrzone datą 1902 r. Sytuacja londyńskich „slumsów”, załupionych skrajną nędzą spychanego na dno „otchłani” proletariatu, nie uległa zmianie na przestrzeni dziesięciu lat — od wczesnej fazy jego triumfu do czasów, w których znalazł się w obliczu końca, przeciwnie — zastrzyła się.

I dziś patrzy z jeszcze większym lękiem w przyszłość angielski świat pracy. Nadchodzący kryzys powiększy armię bezrobocia, nędzy, bezdomności.

Lato 1902 — okres odkrywczych wypraw Londona na dno „otchłani” — to okres pomysłowej koniunktury gospodarczej imperium. A jednak London pisał o swych obserwacjach z East Endu: „Tęgo, co ujrzałem, nie chciałyby oglądać raz jeszcze”.

Po letnich miesiącach ekonomicznej „prosperity” nastąpił kryzys. Zima 1902—1903 wzmożyła bezrobocie i nędzę do rozmiarów, które wstrząsnęły nawet opancerzonymi przeciw „niestosownym” widokom „przyzwyczajeni” Brytyjczykami.

„Rzecz bezrobotnych tworzyły po prostu procesy i wlokły się ulicami Londynu, domagając się krzykiem chleba. Mr. Justin Mc Carthy — cytując London — przedmówił do swej książki — pisząc w styczniu 1903 r. do nowojorskiego „Indepen-

dent”, tak po krótko ujmuje sytuację: — W przytułkach zabrakło miejsca, aby pomieścić głodne tłumy, błądzące dniem i nocą w bram o pożywienie i schronienie”.

Fakty te nie są nam obce. Miałymy miejsce w „dobrej starej Anglii” i za naszej pamięci: nie inaczej przedstawiała się sytuacja proletariatu w latach wielkiego kryzysu lat trzydziestych. I nie, inaczej ukształtuje się ona w humanitarnym raj kapitalistycznym w ciągu najbliższych miesięcy.

Nie trzeba jednak sięgać po dokumenty lat klęski kapitalizmu. Wystarczy ukazać, jak żyje jego ponury cień — londyński East End w miesiącach „dobrych”. Już wtedy Londyn roił się od bezrobotnych. Zjawisko typowe dla stosunków jeszcze nawet liberalistycznego kapitalizmu; produkcja przemysłu angielskiego, nastawiona na potrzeby własne i także eksportowe, nie wychodziła mimo to w większości gąsienic poza działalność sezonową. Każdy więc robotnik, także londyński, musiał normalnie przetrwać coroczny stał bezrobocia w ilości od trzech do ośmiu miesięcy, nie licząc bezrobocia w wypadku krytycznych załamów koniunkturalnych w przemyśle i handlu. Charakterystyczna okoliczność zatrudnienia powodziła z kolei ciągnęła troskę o zabezpieczenie siebie i rodziny przed głodem i bezdomnością. Ponieważ walka o ubezpieczenia społeczne znajdowała się wtedy w stadium początkowym, i w Anglii i na kontynencie, powstawała więc konieczność, aby w chwilach popytu na ręce robotce pracowali całe rodziny, kobiety i nieletnie dzieci. W skutkach praktycznych nie przyniosło to bynajmniej zabezpieczenia rodzinie robotniczej. Co więcej, dezorganizowało ją do szczytu, poddając pod pełną kontrolę i penetrację aparatu przemysłowego, postępującego się doskonałymi metodami oddziaływania i przeciwdziałania wobec wszelkich odruchów klasowych „mieszkańców otchłani”.

Prócz ofiar okresowego bezrobocia staliymi kandydatami na „ludzi otchłani” byli członkowie grupy „sytych” mieszkańców East Endu. Drobni kupcy i rzemieślnicy, nieuchronnie proletaryzowani konkurencją wielkiego kapitalu z trudem utrzymywali równowagę na krawędzi nędzy. Bez szans wydobycia się z dna wegetują w East Endzie ogromne, rzesze lumpenproletariatu; zżarte głodem, brudem, chorobami, pijanizmem wyrzutki „Brytyjskiej Wspólnoty”.

Sytuację tych ludzi badał Jack London, który przebrany za niedźwiedza i upodobniony zewnętrznie do wynędzniałych i obdartych mieszkańców East Endu, „zstał do piekieł” w lecie 1902 roku.

JERZY FALENCIAK

Przebrałem się w kupione łachy i wyszedłem na ulicę. Celem moim było znaleźć mieszkanie; przy czym starałem się przedstawić jako biedny młody człowiek z żoną i licznymi dziećmi.

Pierwsze odkrycie stwierdziło, że mieszkań do wynajęcia jest bardzo niewiele. Wędrowałem całymi kilometrami i nie mogłem znaleźć ani jednego wolnego mieszkania. Byłby to dowód, że dzielnica jest „nasycona”.

Było jasne, że jako młody człowiek z rodziną nie mogę znaleźć mieszkania w tej najmniej pożądanej dzielnicy. Zaczęłem więc szukać pokoi nieumeblowanych, gdzie mógłbym przenieść żonę, dzieci i ruchomości. I pokoi nie było wiele, ale znalazłem jednak, co prawda pojedyncze, bo zdaje się, że jeden pokój uznawany jest tutaj za wystarczające locum dla rodziny. W jednym pokoju można tu gotować, jeść i spać. Patrzone na mnie ze zdumieniem, gdy pytałem o dwa pokoje.

Nie tylko pokój wydawał się im wystarczający dla licznej rodziny, ale i lokatorzy zajmujący pojedyncze pokoje byli jeszcze gotowi odstąpić kąt jednemu lub dwu sublokatorom. Pokój kosztował od piętnastu do trzydziestu pensów tygodniowo, a kąt w takim pokoju można było dostać za trzy do pięciu pensów na tydzień. Sublokator mógł nawet stołować się u swych gospodarzy za parę szylingów.

Nie tylko domy, które odwiedziłem nie miały łazienek, nie było ich w tysiącach domów całej dzielnicy. W tych warunkach mycie się całą rodziną w zatłoczonym pokoju, w niedzielnym, staje się przedsięwzięciem niewykonalnym. Ale Bóg jest sprawiedliwy: we wschodnim Londynie deszcz pada prawie co dzień, tak że — chcąc nie chcąc — mieszkańcy kąpią się na ulicy w strumieniach ulew.

Stan sanitarny domów, które oglądałem, był rzeczywiście straszny. Mam wrażenie, że zła kanalizacja, rynsztoki, brak wentylacji, wilgoć i tym podobne braki spowodowałyby w krótkim czasie u mojej żony i dzieci: dyfteryt, tyfus, różę, zakażenie krwi, bronchit, zapalenie płuc, gruźlicę i różne drobniejsze choroby. Niewątpliwie procent śmiertelności musi być bardzo wysoki. Ale oto znowu zadziwiająca sprawiedliwość: najlepsze, co może spotkać mieszkańca East Endu, to pozbycie się rodziny. Rodzina jest ciężarem, warunki zmuszają człowieka do tego, by chciał się pozbyć rodziny. Jeśli miałoby być inaczej, to coś tu nie jest w porządku, gdzieś tkwi błąd!

Frying-pan Alley. Gromady dzieci bawiących się na ośligłych chodnikach. W drzwiach tak wąskich, że przejść można tylko bokiem, siedzi kobieta z obnażoną piersią, karmi dziecko. Idziemy ciemnym, wąskim korytarzem. Oto schody, jeszcze wyższe i jeszcze brudniejsze. Dwa pietra, każda platforma o powierzchni dwie stopy na trzy, zarzucona śmieciem i odpadkami.

Siedem pokoi jest w tej norze zwanej domem. W sześciu pokojach gotuje, je, śpi i pracuje dwadzieścia jeden osób obojga płci w różnym wieku. Wszystkie pokoje o powierzchni mniej więcej osiem na osiem do dziesięciu stóp. Wchodzić do siódmego pokoju. Nora. Pracuje tu pięciu ludzi. Pokój ma siedem stóp na osiem, przy czym większą część powierzchni zajmuje stół, przy którym pracują mieszkańcy. Na stole — pięć kopyt szewskich i poza tym tyle tylko miejsca, by pięciu mężczyzn mogło jako tako pracować. Cały stół zarzucony tekturą, wiązkami wierzchów, różnymi okrawkami i materiałami. W sąsiednim pokoju mieszka kobieta z sześciorgiem dzieci. W następnym — wdowa z jednym, sześciolatkiem synem, umierającym na gruźlicę. Wdowa sprzedaje słodycze na ulicy i nie zawsze zarobi na trzy kwatery mleka potrzebne dla syna. Miesza chłopiec nie widzi częściej jak raz na tydzień, a ludzkiem, który tego nie widzieli, trudno sobie wyobrazić gatunek tego miesza.

Gruźlica i słodycze! Jeszcze jedna groźba dla dzieci słumsów. Pięciu ludzi ciężko pracuje w tej ciupie, jeśli praca ma być na czas wykonana. W zimie lampa musi się palić niemal cały dzień, a ludzie oddychają kopciem, unoszącym się w gęstym powietrzu. W sezonie, kiedy jest dużo roboty, można zarobić trzydziście szylingów tygodniowo!

— Ale to tylko lepsi pracownicy tyle zarabiają — tłumaczył mi jeden z nich. — Wtedy to pracuje się dwanaście, trzynaście, a nawet czternaście godzin dziennie i to trzeba się spieszyć. Żeby pan nas wtedy zobaczył. Pot się po prostu za nas leje.

Jasne się dla mnie stało, że owe trzydziście szylingów jest wielkością bardzo problematyczną, skoro sami robotnicy muszą opłacić czynsz i światło, oraz kupić narzędzia, sztybla, gwoździe, szlifierki, tekturę itp.

— Jak długo trwa ten sezon, kiedy to możecie zarobić „aż” trzydziście szylingów na tydzień? — zapytałem.

— Cztery miesiące — brzmiała odpowiedź. — A przez resztę roku zarabia się od dwóch i pół do pięciu szylingów tygodniowo.

Pół tygodnia już przeszło, a zarobek mego informatora wyniósł cztery szylingi! Na zakończenie miałem się dowiedzieć, że jest to jeden z bardziej opłacających się zawodów.

Spójrzałem na okno wychodzące na podwórka sąsiednich domów. Podwórka jednak nie było, a raczej były, ale zabudowane parterowymi budami i szopami, w których mieszkali ludzie. Dachy pokryte były brudem i odpadkami, nieraz na parę stóp grubości — danina mieszkańców pierwszego i drugiego pietra. Rozróżniałem w tym smietniku ości rybnie i obryzione gnaty, gałgany, stare podarte buty, potłuczony fajans, garnki itp.

— To już ostatni rok naszej pracy — mówili mi jeden z szewców. — Sprowadzają maszyny, to już dają sobie z nami radę.

Wysiliłszy tym samym korytarzem, gdzie u wejścia kobieta karmiła piersią młode, tanie życie.

Szedłem przez Mile End Road wraz z moimi nowymi przyjaciółmi: woźnicą i stolarzem.

Woźnica z trudnością dotrzymywał nam kroku (powiedział nam, że jeszcze dziś nie jadł), ale stolarz, wychudzony, w brudnym podartym palcie, rozwiewającym się na wietrze, ciągnął szybko naprzód... Obydwaj szli ze wzrokiem wlepionym w ziemię. Idąc rozmawiali, a od czasu do czasu któryś z nich szybko pochylał się i podnosił coś nie zwalniającego tempa marszu. Myślałem, że zbierają niedopałki cygar lub papierosów i nie zwracałem na to uwagi. Aż nagle dostrzegłem: z brudnych, zapłutych płyt chodnika podnosili kawałki skórek pomarańczy, jabłek, gałganki od winogron, podnosili i jedli. Trzeszczały w ich zębach pestki renklodów, podnoszone z ziemi, łupane dla wydobycia jadra. Moi towarzysze zbierali okruszyny chleba nie większe od ziarna grochu, ogryzki jabłek tak brudne i szerniałe, że



Przed przytułkiem Armii Zbawienia.

nikt by w nich nie rozpoznał resztek owocu. Zbierali, kładli do ust, żuli i polykali. Wszystko to działo się pomiędzy godziną szóstą a siódmą wieczorem dnia dwudziestego sierpnia roku pańskiego tysiąc dziewięćset drugiego w sercu największego, najbogatszego i najpotężniejszego imperium świata.

Chłopcy tutejsi wyrastają na nieodolnych młodzieńców, pozbawionych żywotności i wytrzymałości. Siłbi, nierozwinięci fizycznie przegrávají w walce z elementem naliwowym ze wsi. Kolejarze, roznosiciele, kierowcy omnibusów, tragarze, to jest wszyscy ci, których praca wymaga siły i wytrwałości, pochodzą w przeważnej części z prowincji. W policji londyńskiej służy tylko trzy tysiące londyńczyków, a dwanaście tysięcy urodzonych poza Londynem.

Dochodzimy więc do wniosku, że otchłani jest olbrzymią maszyną do zabijania ludzi. I kiedy zdarza mi się przechodzić boczną uliczką, gdzie przed drzwiami swoich zakładów siedzą syci rzemieślnicy, zdaję sobie sprawę, że więcej mam dla nich współczucia, niż dla zgubionych bez nadziei, umierających na dnie otchłani. Tamci umierają, nie ich już więcej nie czeka, ci natomiast będą musieli dopiero przejść przez wszystkie męczarnie i katusze, które, być może, rozciągną się na dwa albo i trzy pokolenia. — Rozmawiałem z kobietą, która właśnie wytracona ze spokojnego życia na takiej ulicy, zaczęła staczać się na dno. Mąż jej był monterem. Słabym był pracownikiem, skoro nie mógł dostać stałej pracy. Nie miał dość energii i przedsiębiorczości, by zdobyć posadę i utrzymać się na niej.

Małżeństwo to posiadało dwie córki i wszyscy czworo mieszkali w dwóch norach, zwanych przez grzeszczących pokojami, za które płaćili siedem szylingów tygodniowo. Pieniążki nie mieli, trzeba było gotować na jednym palenisku gazowym. Jako uboży nie mogli otrzymać nieograniczonego dostawu gazu; dla ich wygody zaistniano automat. Gaz płynął dopiero po wrzuceniu pensa w otwór licznika, ale gdy ilość gazu wartości pensa została zużyta, dopływ zamykał się



Jack London w rozmowie z „mieszkańcem otchłani”.

automatycznie. „Penny pójdzie raz dwa — skarżyła się — a gotowanie jeszcze nie skończono!”.

Długoletnie niedożywienie dawało o sobie znać przez okragły miśsiac, od pierwszego do ostatniego dnia, wstawali od stołu głodni. Ludzie staczający się po zbrocu na samo dno, wiedzą, że niedożywienie jest największym wrogiem, który wysysa życie i przyspiesza upadek.

Ciężko pracowała ta kobieta. Od czwartej trzydziści rano aż do zmierzchu szyła spódnice z falbanami, po siedem szylingów za tuzin. Siedem szylingów za tuzin!

Starsza córka pracowała jako niewykwalifikowana pomocnica u krawcowej za półtora szylinga tygodniowo! Kiedy jednak zaczął się mroźny sezon, została zwolniona, chociaż przyjeżdżała za tak śmiesznie niską płacą jako uczennica. Potem znalazła zajęcie na trzy lata w sklepie z rowerami, gdzie otrzymywała pięć szylingów tygodniowo. Cztery kilometry miała do pracy, przy czym właściciel potrącał jej z pensji kary za spóźnienia.

Rodzice stracili grunt pod nogami, nie utrzymali się na powier-

de Park z czternasto- czy piętnasto-letnim chłopcem, najbardziej wyniszczonym i wychudłym stworzeniem, jakie widziałem. Był chory, oczy miał głęboko zapadnięte.

— Chodź, przeleziemy przez płot — namawiałem — zaszyjemy się w krzaki i prześpiemy. Głiny nas tam nie znajdą.

— Głiny nie, ale są dozorczy, zapią cię i posiedzą sześć miesięcy.

Wśród bezdomnych Green Park ma dobrą opinię, jako najwczesniej otwierający swoje bramy, bo już kwadrans po czwartej. Razem z innymi wszedłem do parku. Padał deszcz, ale ludzie zmęczeni nocną wędrowką walili się na ławki i natychmiast usypiali. Wielu wyciągnęło się na mokrej trawie i nie zważając na ulewę, zasypiało snem śmiertelnie zmęczonych.

Tegoż dnia byłem jeszcze raz w Green Parku o pierwszej po południu. Na trawnikach leżały dziesiątki obdartusów. Było niedzielne popołudnie, słońce świeciło zachęcająco i tysiące dobrze ubranych londyńczyków z żonami i dziećmi krążyło po parku.

Tak, mili, możno ludzi, gdy odwieździecie kiedy Londyn i zobaczycie ludzi śpiących na ławkach lub na trawie, nie myślcie, proszę, że są to leniwe nieroby, które wolą spać niż pracować. Wiedziecie, że w nocy spać im nie dają policjanci, a w dzień nie mają się gdzie podziać.

Szedłem wieczorem przez Commercial Street, szedłem daleko na południe, aż do doków. Szedłem i śmiałem się z gazet East Endu, które pełne obywatelskiej dumy rozgłaszają chełpliwie, że East End nie jest jeszcze najgorszym miejscem na świecie.

Trudno jest opowiedzieć nawet dziesiątą część tego, co widziałem. Te rzeczy nie dają się po prostu opowiedzieć. Ogólnie mówiąc: widziałem zmorę nocną, brud ozywający na bruku ulicy, plataninę niewypowiedzianej nędzy — zaciemniające „okropności” kryminalne Piccadilly i Strandu. Oto zbiorowisko odzianych w łachmany stworzeń dwunożnych, które wyglądają jak ludzie, lecz raczej są zwierzętami; a dla uzupełnienia obrazu — dżozory z mosiężnymi guzikami, utrzymujący porządek i struflący tych, którzy narzekają zbyt głośno.

Cieszyłem się jednak, że są dozorczy, ponieważ, nie będąc dziś w przebraniu włóczęgi, mogłem łatwo stać się łupem drażliwych stworzeń, waleśających się bez celu po ulicach. Między jednym a drugim dozorcą stworzenia te rzuciły na mnie ukradkowe, pożałujcie spojrzania drażliwych z rynsztoku, a ja bałem się ich rak, ich gołych rąk, tak jak człowiek bałby się łap goryla. Byli niscy, krepki, niekształtni. Nie mieli szerokich ramion, ani mocnych mięśni. Przedstawiali sobą raczej najpierwotniejszą oszczędność natury. Tak musieli wyglądać ludzie jaskiniowi. Ale siła była w tych wychudłych ciłach. Dłzka, pierwotna siła, zdolna gryźć, szarpać i młodzić... Slum jest ich dzunglą i w tej dzungli żyją i polują. Stworzenia niezdolne do pracy i niepotrzebne! Nieszczęsne, pogardzone i zapomniane, ginące w walce społecznej — potomstwo prostytucji; prostytucji mężczyzn, kobiet i dzieci, ludzi z krwi i kości, iskry bólej i dumy; krótko mówiąc — potomstwo prostytucji pracy. Jeśli to jest najlepsze, czym może nas obdarzyć cywilizacja — wróćmy do nagości czasów pierwotnych. O ilej lepiej jest być ludem z puszki i pustyni, jaskini lub szalasów, niż być ludem maszyn i otchłani.

Dlatego wraz ze wzrostem potęgi cywilizacji w takim samym stopniu rosła nędza? Przyczyną jest złe kierownictwo; wyjściem — wspólnota socjalistyczna. Motyw zysku musi zniknąć. Społeczeństwo musi poprawić los prostego człowieka; zdolne jest przeciwstawiać w stanie obecnym do produkowania w ilości, zaspakajającej potrzeby. Społeczeństwo należy zreorganizować; produkcja na użytek, a nie na zysk. Gdy zniknie złe kierownictwo kapitalistyczne — zniknie z powierzchni ziemi piekło slumsów, pcowalnej śmierci głodowej, chorób, niedożywienia.

thum. JERZY DZIAŁAK

*) The People of the Abyss, by Jack London, New York, Grosset and Dunlap, 1903.

ANTONI OLCHA

ZAMAWIAMY SATYRĘ...

Większość gazet i czasopism, prowadzących rubrykę pn. „Humor i satyra”, publikuje na ogół stare dowcipy, które dobrze się wysłuszyły innym czasem i innym ludziom, ale dzisiaj najczęściej nie mają już siły, żeby wywołać bodaj półśmieszek u czytelnika. Dowcip nie posiada przywileju „ponadklasowości”; przy „odgrzewaniu” go trzeba pamiętać o tej żelaznej zasadzie.

Tu i ówdzie można spotkać podszminkowane anegdoki — staruszki, które można porównać do dziewięćdziesięcioletniej pani, udającej fruującego podłotkę. Znany tygodnik humorystyczny — satyryczny wywiesza często u czytelnika tży współczucia dla zespołu redakcyjnego, zmuszonego watawać numerami kolumnami korektorskich i autorskich błędów, potknięć wywołanych przez pilnych tropicieli takowych. Dodajmy, że komentarze, jakimi często bywają opatrzone owe wycinki, budzą poważniejsze zastrzeżenia. Na przykład: wykiwając śmieszny podpis pod podziękowaniem dla lekarzy, którzy uratowali życie matki i dziecka przy porodzie, pewne pismo uderza wulgarnym dwuznacznikiem w ową matkę, która porodziła. Dowcipas niesmaczny, obraźliwy i wyrządzający krzywdę nie autorowi śmiesznego podpisu, lecz kobiecie.

Większe i mniejsze głupstwa, popełniane przez prasę, żywią spłaty wielu czasopism. Zdarza się, że nad tym samym błędem korektorskim pastwią się trzy i cztery pisma równocześnie. Uderza brak proporcji i zdrowego umiaru. Gorzej, że różni „kamerzyści” biorą ochocho na widły nawet te dzieła, które potem inne poważne pisma polecają jako godne uwagi itd. (przykład: „Lipnicki świat” Goździkiewicz).

Gdy z takim rozmachem tańczy się wokół potknięć codziennej pracy, gdy na docinki z głupstewek nie żal dwóch szpalt w piśmie dużego formatu, lub całej kolumny mniejszego formatu, brakuje miejsca na wyczerpującą informację o nowych książkach, na sensowne artykuły krytyczno-literackie, brakuje miejsca na cietą, dzisiejszą, zróżnicowaną satyrę; brakuje miejsca na współczesny, zdrowy śmiech.

Człowiek tygodnik, poświęcony sprawom satyry i humoru, wykpił np. ostatnio czasopisma, że na wyprzedzi drukując recenzje z tomików wierszy „Łach”, „Bzach” i „Smach”, a o satyrze ani dudł! Przeczytałem satyrę i pomyślałem: autor bawił przez pięć lat na księżycu. Toć obecnie przedzie wielbił przedzie przez ucho igielne, anieli się poeta doczeka recenzji! W danym wypadku satyryk haniebnie spudłował ku uciesze opieszałych krytyków poezji, chociaż słuszenie się domagał skrytykowania satyry.

Krytyka tego „rodzaju literackiego” jest oczywiście pożądana i konieczna. Mam wrażenie, że przydałaby się przede wszystkim „Szpil-

kom”. Tygodnik ten, mający piękną, bojową tradycję, dziś kuleje, kwęka, szuka drogi i kluczy, ale nie daje czytelnikom tego, na co czeka. Stosunkowo najlepsze, najbardziej celne karykatury, satyry i dowcipy „Szpilek” dotyczą wydarzeń politycznych, szczególnie wydarzeń z polityki międzynarodowej. Jeśli zaś chodzi o polską

obronę dzieci, zmuszone do pasienia bydła i pracy w polu, co odbywa się oczywiście kosztem nauki.

E. Domek, Obwodowo: walka z mszycą na burakach cukrowych.

Z. Gruss, Smotarnia: zachęcić do inicjatywy społecznej w budowie szkół. H. Dziuba, Biała: wysmiewać



współczesność — to bukiecik wielomiesięcznego dorobku satyryków i humorystów jest bardzo skromny. Widać, że tutaj chodzą jak po taflę lodu. „Obowiązującym” jest tu dowcip oparty na karpuszkowym nonsensie, „obowiązującą” wymysł na golizna postaci Maji Berezowskiej. „Szpilki” postępują się wieloma chwytami, mogącymi zadołować wąski krąg inteligentów „starego typu”, ludzi świadomie rezygnujących z uczestnictwa w budowie nowej rzeczywistości. Ale gdzie są powszednie sprawy naszych fabryk, biur, spółdzielni, ośrodków maszynowych, szkół, szpitali; sprawy, którymi żyje człowiek w fabryce i na roli?

Mam przed sobą kilkadziesiąt listów od czytelników — chłopów i robotników z różnych stron kraju, którzy natrętnie domagają się, zaimbują „dobrą, współczesną satyrę, dobry współczesny żart. Wymieniają tematy. Wynotują niektóre.

T. Sułkowski z Osieka: wykpić karcarzy, zachęcić młodzież do czytania gazety i książki. Czytelnik ten opisuje wspaniały rozkwit spółdzielni gminnej i domaga się wysmiania ludzi, którzy przeszkadzali lub stali z boku, nie wierząc w pomysł jej rozwoju. St. Motosek z Patok: zły i dobry sojusz na wsi. W. Rząd z Leśniczówki pod Lublinem: niech satyryk weźmie w

tych, którzy nie chcą należeć do organizacji; także młodzież, stroniącą od sportu. Z. Głomski, Tczew: wykpić złe zorganizowany skup owoców; napisać historię kilkudziesięciu kg zmarnowanych wiśni. H. Szczepański, Wygoda: tepienie stonki ziemniaczanej i zaniedbania w tej dziedzinie; obudzenie większego zainteresowania bibliotekami gminnymi; biurokracja w urzędzie żywności.

Takie i inne zadania społeczne stawiają satyrze czytelnicy. Z przytoczonych wyżej przykładów widać, że chcą dowcipu, wyrostłego na gruncie nowej, z trudem budowanej rzeczywistości. Chłop spod Lublina, robotnik w Ursusie czy we Wrocławiu, chcieliby zobaczyć w krzywym zwierciadle to, co im przeszkadza w pracy, co im utrudnia podniesienia jej wydajności; chcieliby zrzędną, w miarę tego dowcipu na temat ich własnych przywar i niedociągnień; chcieliby znaleźć w czasopiśmie także ten trudny gatunek humoru, który nie ośmiesza i nie poniża, lecz oprómienna uśmiechem radości pracę, godną pochwały.

Humor i satyra, tworzone z tego, co rzeczywistość tkwi dzisiaj w życiu społeczeństwa — oto zadanie. Chcąc je wykonać — trzeba zabłądzić „pod strzechy”.

Koledzy po mieczu i kądzieli

Proces byłego generała hitlerowskiego von dem Bacha, znanego o pracu Warszawy, obfituje w kapitalne momenty. Oto jeden z nich. Prokurator zapytuje, o czym rozmawiał von dem Bach z gen. Borem-Komorowskim po upadku powstania. Odpowiedź brzmiała: „Prowadziliśmy rozmowy czysto towarzyskie. Oprócz tego rozmawialiśmy o potrzebach Bora i jego grupy oficerów, potrzebach, związanych z miejscem ich zamieszkania, jedzeniem i udogodnieniami. Bór-Komorowski postawił mi kilka pytań, między innymi i to: dlaczego pan jest inny, niż pozostali oficerowie niemieccy?... Odpowiedziałem mu, że w żylach moich także płynie słowiańska krew, że rodowe nazwisko mojej matki brzmiało — Szymańska i wtedy wspólnie z Borem-Komorowskim ustaliliśmy, że przodkowie nasi otrzymali tytuły hrabiowskie od króla Jana III Sobieskiego pod Wiedniem”.

Tak sobie gwarzyli dwaj „słowiańscy” hrabiowie, których powołała wspólna rasa, krew i wspólny cel: zniszczenie Warszawy.

Czas zamknąć interes

„Kulturtraegerzy” emigracji londyńskiej doszli wreszcie do przekonania, że coraz mniej Polaków decyduje się na czytanie ich pism. Niejaki p. Jasiński nie bez melancholii pisze w „Wiadomościach”: „Czasem widuję tego lub owego towarzysza pracy przy pospiesznym posiłku w kantine... Ujrza mnie, bywa, zacytanego w polskim piśmie. Mówią: — Pan wciąż kupujesz te truciźnie? Przekładam im: to jest inne. Niech pan sam zobaczy. I próbuję nakłonić do przeczytania jednego artykułu „Wiadomości”. Odpowiadają: — Idź pan do cholery... Nie pomagają ani ankiet, ani zwałanie winy na czytelnika, że czytać więcej nie chce. Maracje, że nie chce. Ma tego dosyć, po gardło”.

Jak na publicyste „Wiadomości” całkiem szczerze, „Rząd” bez podanych, generalnie bez wojska, „partie” bez członków, a teraz i czasopisma bez czytelników. Najwyższy czas zamknąć interes. Bo nie idzie.

J. S.

Ruch łączności

Sojusz robotniczo-chłopski, gwarancja zwycięstwa socjalizmu, realizuje nie tylko oficjalna polityka PZPR-u i S.L-u, nie tylko rozwojowa struktura Państwa Ludowego. Stał się on już czynnikiem, który przeniknął w codzienną walkę i pracę mas.

Wyjazdy ekip robotniczych na wieś, początkowo podyktowane różnymi potrzebami chłopów oraz troską świadomości aktywów robotniczych o właściwe funkcjonowanie wsi, dziś stały się planową akcją, mobilizującą załogi wielu fabryk, akcji, która wypracowała już własne formy organizacyjne.

Wydział Propagandy KC PZPR wydaje nawet specjalny miesięcznik „Fabryka i wieś”, stanowiący poradnik dla robotniczych ekip łączności we wsi.

Inicjatywa aktywów robotniczych rozwinęła się już w zorganizowaną akcję, zyskała poparcie i opiekę ze strony czynników partyjnych.

Dotychczas jednak nie została przeprowadzona właściwa wymiana kulturalna między miastem i wsią. W roli strony świadczącej, a co za tym idzie także i dojrzewającej w działaniu występują wyłącznie robotnicy.

Należy koniecznie zaktywizować wieś, zorganizować wypadki zespołów chłopów do miast, wprowadzić do wsi świetlice robotnicze, skontaktować z życiem i pracą fabryk.

Aktywny wkład wsi w życie świetlicy robotniczej będzie miał ogromne znaczenie wychowawcze przede wszystkim dla zespołów chłopów.

mr

A dalej?

Amerkański Sekretarz Stanu Acheson opracował 1000 stronicowy memoriał, który ma udowodnić, że rząd USA zrobił wszystko, aby ocalić Czang-Kai-Szeka przed klęską. Ponad pół miliarda dolarów przekazano na uzbrojenie 3 milionów armii Kuomintangu. A jednak tak wielka, nowoczesna użbrojona armia uległa wojskom ludo-

wym, źle wyposażonym i znacznie mniej początkowo licznym. Dlaczego? Dlatego, że amerykańscy imperialiści mieli i mają wątpliwą wartość sojuszników.

Acheson z rozbrajającą szczerością wyjaśnia, że takiej korupcji, nadużyć, samowoli, nieudolności wodzów jak w Chinach Kuomintangowskich nie widział nigdzie. Nie pamięta także w historii takiego faktu, jak przejście 90.000 żołnierzy na stronę przeciwnika. A tak stało się w prowincji Hunan, gdzie blisko 100.000 armia, nowoczesnie uzbrojona przez kapitał amerykański, oddała się do dyspozycji Chin Ludowych. Acheson przyznał również, że próby wzniesienia kontrrewolucji za amerykańskie pieniądze nie powiodły się.

Podobnie niewesoło brzmią francuskie raporty z Indochin. Od stycznia straciły wojska, broniące interesów kolonistów, ponad 10.000 ludzi i trzymają się jeszcze tylko w kilku miastach. Żołnierze algierscy, tuniscy i marokańscy przeszli na stronę Wietnamczyków, tworząc „Wolną Brygadę Północno-Afrykańską”.

Rząd francuski, który jeszcze nie tak dawno zapowiadał „decydującą ofensywę”, „ostateczne kroki”, wezwał wietnamczyków do zachowania braterskiego pokoju.

Imperializm — jak wiadomo — pokój nie lubi. Często natomiast — pod pozorem jego utrzymania — kapituluje. O pokój i porozumienie prosił przecież Kuomintang przed ostateczną klęską. Przyszła teraz kolej na kolonistów francuskich. A dalej?

kj.

Oś W — W

Po fali oburzenia na wystąpienia papieskie, przyszła w terenie, na głębokiej prowincji, na wsiach polskich fala wykpiwania Watykanu.

Logika faktów historii ostatniego 20-lecia stoi jasno i wyraźnie chłopom w głowach. I w jej świetle śmiech i drwinę wywołuje na wsi polityka Watykanu. Oto przykład tej spontanicznej satyry i pamfletu:

„W myśl watykańskiego kanonu, Zwrócić się trzeba do Waszyngtonu i złączyć się silnym węzłem

przyjaźni,

Oto czym się papież w Watykanie błażni.

Najpierw papież Niemcom

błogosławi,

Po to by Hitler narodził „wybawiciela”

Od niosącego sprawiedliwość komunizmu.

Oto były cele papieża i faszyzmu.

A lud jęczał w niemieckiej niewoli

I zwracał oczy na wschód w ciężkiej niedoli.

Skąd wreszcie doczekał wyzwolenia.

A Watykan co dał? — grobowe milczenie!

Teraz popiera amerykańskie truski,

Którymi kierują business-oszusty.

My na te wszystkie papieskie

knowania

Odpowiemy rytmem pracy

i zbratania!

ZDZISŁAW PIĘKOŚ

Odrową, pow. Koński

Nie Krasicki ale... biskup

warmiński

U nas w Warmii, w Olsztynie, nie było wprawdzie „cudów mnogich”, jak w lubelskim, mieliśmy jednak do czynienia z inną próbą posłania zamętu na wsi przez hierarchię kościelną, i to również w okresie żniw.

Sprawa ta bierze swój początek — prozę was — od wiosny. Wtedy to, kiedy na polach można było już dojrzeć zapowiadź pięknych zbiorów, nie mało plebanów wraz z całą reakcją wieściało się, że u nas piękne zboża, a w Stanach Zjednoczonych susza, a na Zachodzie powódź. Kiedy nadeszła pora żniw i deszcze, utrudniające zbiory, wymagające czujności, każące wykorzystać każdą chwilę przejaśnienia, wymagające zbiorowej współpracy i sąsiedzkiej pomocy — dano (skąd?) hasło pielgrzymek, odpustów i misji masowych. W powiecie piotrkowskim, jak mi opowiadano, urządzono w tym czasie 3 odпустy, werbując ludzi z gmin za pośrednictwem zakonników i domagając się konnych banderii.

U nas w Olsztynie na odmiennie wymyślono misję. Czy chciano nawracać Mazurów — autochtonów? Czy też chłopów — repatriantów z dawnej Polski? To Mazurzy żądają, aby nawrócono spaloną politykę Watykanu, bo Watykan do dnia dzisiejszego nie uznaje powrotu Warmii i Mazurów do Polski i do dnia dzisiejszego utrzymuje tylko administratorów biskupów i administratorów parafii.

„Wiadomości Diecezjalne” w ub. roku zamieściły nekrolog po śmierci zacieklego wroga polskości, biskupa warmińskiego, Kellera, który po ucieczce z Polski organizował Masurenvolk i prowadził antypolską działalność. W tym numerze Kuria Biskupia oddała hołd „wielbnemu księdzu biskupowi”. Dla takiej Kurii, dla takiej hierarchii kościelnej również Ignacy Krasicki, wielki poeta, patriota i reformator, byłby tylko — „biskupem wieleb-

nym”. A właściwie nawet i nie tak. Krasicki nie jest dla nich wielebnym biskupem, bo był libertynem, postępowcem. Ale Keller jest „wielebnym” — a był polakożercą.

Chłopi osadnicy zza Wisły, to w większości dawna biedota. Czy misję liczyły na nierozwalny związek nędzy z ciemnotą? Ale w tym sęk — że ci chłopcy wyszli właśnie z nędzy na drogę nowej Polski, która im oddała powrócone ziemie macierzy. Nowa Polska dała im warunki, w których mogą myśleć i działać.

I kiedy misję urządzano w czasie nateżonej akcji żniwnej, gdy przy pomocy misji agitowano do upadłego, by powstrzymać chłopów od pracy w dni świąteczne, chłopcy pracowali, pracowali PGR-y i zebraliśmy wszystko, a było co zbierać, skoro nasz plan zasiewów wiosennych przekroczył 40%.

Paweł Karcz
(Olsztynskie)

Wszystkie siły przeciw polityce magii

Jestem nauczycielem na wsi, sam chłopskiego pochodzenia. Jestem również S. L.-owcem. Znow zobaczyłem, po wakacjach moją dzieciarnię, przed którą dziś nie potrzebuje się wstydić, bo moje nauczanie nie kończy się, jak przed wojną, ślepym zaułkiem zubożności. Wiem, że wielu z nich pójdzie na dalsze studia, że wszyscy mają otwartą drogę do pracy i awansu wskutek naszych przemian utrojowych. I ledwie zobaczył moją dzieciarnię, ciesząc się różnymi planami na ten rok, jakie przemyślałem przez wakacje, gdy wtem nadchodził, rzekłbym, mobilizacyjny wezwanie z powiatowego zarządu S. L.-u.

Kolego — piszą — piwiniście w najkrótszym czasie, w porozumieniu z kierownikiem OK i P, zorganizować seminarijny rejon szkoleniowy i przejąć do szkolenia gminnego i gromadzkiego Koła S.L.-u w zakresie oświatowo-kulturalnym.

Kolego — piszą — w związku z walką z analfabetyzmem jeszcze we wrześniu trzeba pomóc komitetowi rodzicielskiemu określić bieżące zadania.

Kolego — piszą — jest świetlica u Was? — przyłóżcie się w pracy Koła ZSCH. i ZMP do szerzenia czytelnictwa, szczególną uwagę poświęcając prasie ludowej.

Kolego — piszą — ktoś, jak nie Wy z sercem odnajdzie i zachęci nadających się do pracy pisarzy-korespondentów z życia gospodarczego, politycznego i kulturalnego waszej wsi.

Jęknąłem — oto początek roku nauczycielski! Mało ta dzieciarnia! Ależ zaraz uświadomił sobie, że mało. Te dzieciarnie nie tylko my uczyliśmy, postępowi nauczyciele. Uczą ją bajki, banialuki, rozśiewane wśród niej bezpośrednio albo poprzez nieoświeconych ze starego pokolenia. Toż przecież reżyseruje się poza „lubelskim cudem” prowincjonalne, parafialne cudziki me tody wypróbowana: że w drugiej gminie Owczary był cud na rozstajnych drogach, a kiedy tam pojeźdź, dowiesz się, że nie nie było, natomiast w gminie Owczary mówi się o cudzie u nas, w Piaszkach. Do czego to służy? Oto dewotki różańcowe powołują się na książkę o Królowej Michełdzie, która zapowiada, że przed ostatnią wojną będzie moc cudów, będzie Chrystus dawał znać o sobie. Matka Boska i wszyscy święci, że to będzie wojna ostatnia i krzyż zatrumfuje. O co tu idzie? Łatwo przejrzeć, że się wzmawia wojnę i wymierza jej kierunek na wschód. Ten nawrót obokurnego średniowiecza, to odrodzenie magii i wróżb polickuje nas, nauczycieli, uderza w naszą sprawę niesienia światła i postępu.

Koledzy nauczyciele, Was również wezwano na front społecznego działania, wspólnym, wielkim frontem kruszymy zabobon i demaskujemy sprężyny polityczne w próbach narzucania wsi magicznego myślenia.

Józef Wysocki

(Rzeszowskie)

W NUMERZE 27 (216)

TYGODNIKA „WIEŚ”

Z DNIA 11 WRZEŚNIA 1949:

Zygmunt Pióro — Warszawa ludowa; Anna Kamińska — Warszawa i Kształt nowego patriotyzmu; Maria Żmigrodzka — Wieś czeka na krytykę literacką; Kazimierz Piwarski — Katastrofa wrześniowa; Bert Brecht — Trwogi reżimu; Leon Zdzierak, Maciej Rękas, B. Przybylski, Leon Wójcik, Ludwik Łakomy, Andrzej Skupień — Florek, Stanisław Kośba, Jan Działuch, Leon Pokora, Władysław Blachut, Szczepan Dłuski — Lasek, Seweryn Skulski, Adam Nowotny — Chłopi mówią o wrześniu; Lech Budrecki — Proza o wrześniu; Józef Bieniek — O nowy typ osiedla wiejskiego; Stanisław Cieślak — Ku czemu Polska szła; Maciej Koliba — Wspólny dom; J. Czar — Bitwy o chleb sprawiedliwy; Fakty i zadania, 19 ilustracji. 8 stron.

JÓZEF OZGA-MICHALSKI

OPOWIEŚĆ DZIADOWSKA

Nogi mu rozsądził mroz, ręce zdarte są od pracy, z głodu jak z sytości puchł i rozum utracił. Nie wie już, kotędy naprzód, albo gdzie się wrócić dziś. Nie okiem a kijem patrzy, wędrem jada barszcze z mis. Lecz to dzisiaj nie znaczy spotkałem go — Eh panowie! w mojej wsi przy Bożej Stacji, kiedy Chrystus zwiesił głowę i rzekł do mnie — „rób co chcesz, ty tam teraz lepiej wiesz”. W marnym polu — marna stacja jaworowa — plus akacja. Wiatry gwizdzą w szczytach polu jak parowa lokomotywa, a tu dziada nogi bola, idzie sobie — odpoczywał! Biskupowie, konduktorzy, proboszczowie, maszyniści taka droga czeka trwoży, gdy dmie wiatry zamaszty — Wziąłem Dziarmagę za rekaw (znałem go od młodych lat), gdy drwa rabał jak grzmot stękał sęki łupał, jak grał z kart. I powiedział mi historię tak paradną, że u diabła dzięki niej na świecie żyję, z nieba mi na ziemi spada. Siedliśmy na starym płocie co kotłasył się na wietrze, on wyjmował z ust owoce tej historii, jako rzektem. „ — Raz przyszedłem do biskupa, biskup zwał się Grabiec, nakupałem drzewa z buka, naniostem mu za piec. Wyszedł do mnie z żerdką złotą, co się zwie pastorał, uśmiechnął się i z ochotą zaprosił na obiad. On ze złotą laską a ja z toporzykiem, siedzi przy misce, jak święci z obrazka co jedną jagodą dzielił się młodą, jedną emili faję

pod zielonym gajem. Rzecz biskup do mnie po sutym obiedzie — Wierzysz teraz w Boga, mój bliźni sąsiedzie? — Jakże bym nie ufal i w aniołów wierzę wylatują w puchach nad kościelną wieżę. Najadłem się klusek z mojej dobrodziejem i wypilem kufel wonnego oleju. Stodko się nachylił i zanucił psalm — co wam moi mili najlepszego dam? I daje mi pierścień ze szczerego złota, który lśni jak szerszeń w słoneczną spiekotę. Zadzwonił w mej torbie, jak schwytyany błąk — zabija go paskud, gdy chwyci do rąk. A wreszcie powiada — masz niedziwiedzie futro, to dzisiaj — a resztę dołożę ci jutro. Ja wtedy wyciągam siekiery stylisko i mówię — jak dajesz to dawaj dziś wszystko. I łup go przez pęcy kropidłem grabowym tak bije woźnica, gdy koń się znowu. A on stodko do mnie uśmiechając się oddaje skromnie drugi pierścień — Wtedy ja znowu nacieram i łap cap powalam na ziemię biskupa Grabca i łoję tego purpurowy zad, a on się śmieje niezmiernie rad. — Powiada — jest tam w szafie wino

pij i bij mnie drogą dzieciną, twoja praca wystruga z biskupa święta do wiejskiego stupa. A ja łoję, a ja łoję aż pot ze mnie strużka płynie. On wesół, promienieje jakby w karty grał przy winie. Jest tam kompot zimny w szafie, napij się mój miły drwale. Szlak mnie trafia nie pomatu, ale pijąc leje dalej. W końcu gdy nie czuję rąk, litościwy biskup wstał i wybrał mnie od mak kwartę mi dukatów dał. Te wymowną powieść usłyszałem, ja tej nocy z ust Dziarmagi, który zmarł z głodu, zimna i ran. Ukłucie się prorocy, pozwólcie mi tę opowieść drogę sobie do nieba mościć, bez niej byłby, jak bez kija, który dał moc swojej prawdzie. Ona się jak kwiat rozwija choć kij rozsypał się w drzazgę.

mr

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: WARSZAWA, ul. Starynkiewicza Nr 7. Tel. Redakcji bezpłatnie 8-12-74; oraz 8-67-80 i 8-83-75, wewn. 69 i 87. WYD.: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ. REDAKCJA NIE ZAMÓWIONYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA. Ogłoszenia przyjmuje Administracja — WARSZAWA, Starynkiewicza 7.

Warunki prenumeraty: miesięcznie 80 — zł; kwartalnie 240 — zł; półrocznie 480 — zł; rocznie 960 — zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I — 6841 z zaznaczeniem „za tyg. „Wieś”.

Drukarnia nr 2 Spółdz. Wyd.-Ośw. „Czytelnik”, Marszałkowska 3/5. B-83560